Nr. 21. Lwów. — Środa dnia 27. Stycznia. **Rok 1886.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie — zł. 75 ct.	Miesięcznie . 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie . 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Adres Redakcji i Administracji: Ulica Sykstuska l. 45.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:

WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Sykstuska l. 45. W WIEDNIU *Prenumeratę:* Zeitungsbureau Goldschmiedt (I. Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia:* M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. Moritz Stern, Wollzeile 22 — Alois Herndl, Schulerstrasse 14. — Rudolf Moses, Seilerstädte 2.

OGŁOSZENIA przyjmują za opłatą 10 ct. od wiersza petitowego za pierwszy raz, a 5 ct. za każdy raz następny.

NADESŁANE w cenie 30 ct. od wiersza.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Jana Chryzost.
Jutro: Karola Wielk.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 43 | Długość dn. g. 9 m. 3
Zachód „ g. 4 m. 46 | Przybyło „ 4 minuty

Mając na względzie smutny stan ekonomiczny, w jakim nasz kraj się znajduje, a zarazem pragnąc wywdzięczyć się za uznanie, jakie pismo nasze znalazło u publiczności, czujemy się w obowiązku zniżyć jego cenę do połowy. Odtąd przedpłata na ***Przegląd*** *wynosić będzie:*

***Na prowincji** (z przesyłką pocztową)*

Rocznie . 12 zł. — ct.	*Kwartalnie . 3 zł. — ct.*
Półrocznie 6 „ — „	*Miesięcznie . 1 „ — „*

We Lwowie

Rocznie . . 9 zł. — ct.	*Kwartalnie . 2 zł. 25 ct.*
Półrocznie . 4 „ 50 „	*Miesięcznie . — „ 75 „*

(Za dostawę do domu dopłaca się miesięcznie 25 ct).

Przegląd jest do nabycia we wszystkich trafikach po cenie ***4 centów*** *za numer.*

Upraszamy naszych prenumeratorów i zwolenników naszego pisma o komunikowanie wszystkim swym znajomym wiadomości o tem zniżeniu przedpłaty.

Za kilka dni rozpoczniemy w naszem piśmie druk słynnej powieści Jerzego Ebersa pod tytułem ***Uarda.***

Rubrykę „Głosy prasy“ wprowadzamy ponownie i odtąd stale będziemy ją utrzymywali. W rubryce tej będą mieli czytelnicy streszczenie i rozbiór najważniejszych artykułów prasy.

Lwów 26. stycznia.

Energiczne przeciw Grecji wystąpienie Anglji, o którem doniósł wczorajszy telegram, powinno sprawić w Europie dobre wrażenie, bo niezawodnie zbliża koniec zawieruchy wschodniej. Lubo, z powodu tej zawieruchy, przeciw żadnemu mocarstwu nie podniesiono tylu dotkliwych zarzutów, co przeciw „wiarołomnemu Albionowi“, jednak faktem jest, że od początku do dzisiaj on jeden jasno rozumiał sytuację, wytknął cel i otwarcie dążył do niego. Nazajutrz po rewolucji rumelijskiej, sir Lescelles powinszował Bułgarji szczęśliwego przewrotu i uwolnienia się od rosyjskiej zmory. Na konferencji konstantynopolitańskiej sir White wytrwale bronił interesów bułgarskiego narodu, a oto wreszcie niedawna angielska mowa tronowa i mowa Salisbury'ego w Izbie lordów obwieściły światu, że zjednoczenie Bułgarji z Rumelją musi być uznane. Jedno takie słowo w parlamencie angielskim więcej warte, niż wszystkie stylowe ćwiczenia Delyanisa i groźby Grecji, że nie pozwoli na unją. Podobno już i Rosja cofa swe *non possumus* — szkoda dla niej, że cokolwiek za późno; co straciła przez upor, tego już nie odzyska. — Szamocząc się w zamkniętem kole błędu, stawia teraz coraz to ostrzejsze wnioski, które mają tę wielką wadę, że wszystkie bałkańskie państwa jednakowo traktują. Szablonowa polityka zawsze jest złą. Inne położenie Grecji, inne Serbji, — jeszcze inne Bułgarji, a znów inne Turcji; — jeszcze więc mocarstwa powinny przemawiać w Atenach, inaczej w Belgradzie, inaczej także w Sofji i znów całkiem odmiennie w Stambule.

Rychłe uznanie unji bułgarskiej jest jedynym sposobem uspokojenia Wschodu, a to uznanie nikomu nie będzie szkodliwe, krom może Rosji. Że Turcja będzie wolna (jeśli ona w ogóle nie czego chce w granicach możliwości) mieć za sąsiadkę zjednoczoną i niezależną Bułgarją zamiast dwóch Bułgaryj zależnych od Rosji, — to przecież nie ulega wątpliwości. Serbja prędko przeboli niefortunną wojnę i przekona się, że żyć i rozwijać się może bez terytorjalnego powiększenia, zwłaszcza kosztem Bułgarji, od którego Bogiem a prawdą słusznie nic wziąć nie może, bo jeśli okręg widdyński zaludniają Serbowie, to znów w pirockim mieszkają Bułgarzy. Mogłaby więc chyba nastąpić korzystna dla Serbji zmiana linji granicznej, ale na to była pora przed wojną. Wówczas książę prawdopodobnie zgodziłby się na to, teraz zgoła zgodzić się nie może bez obrazy narodowej dumy Bułgarów. Nie ma obawy o wewnętrzną burzę w Serbji jeśli ona nic nie dostanie, bo dynastja Obrenowiczów zapuściła głębokie korzenie, a Milan umie świetnie kierować stronnictwami. Nie ma również obawy o to, że Bułgarzy wnet poczną się dobijać o nowe zdobycze. Gdyby kto podniósł księciu na talerzu Macedonją, on tego prezentu nie powinien byłby przyjąć, bo zdobywszy niezawisłość polityczną, przedewszystkiem powinien wzmocnić ją wewnętrznym ładem, organizacją administracji, sądownictwa, ułożeniem kodeksów cywilnego i karnego, słowem — stworzeniem wszystkiego, co społem tworzy pojęcie zorganizowanego państwa, a czego Bułgarji od początku do końca brakuje. Książę złożył dowody, że potrafi być takim organizatorem i być nim chce, naród zaś bułgarski, należący do rasy tatarsko-słowiańskiej, jest dobrym materjałem do takiej pracy; jest zdolny jak słowianie, karny i posłuszny jak Tatarzy; księciu swemu całkowicie oddany, bo w nim widzi ideał bohatera. Wewnętrznej tedy pracy, a nie awanturniczej polityki trzeba się teraz spodziewać od Bułgarji. Widma panslawizmu bałkańskiego ona nie podniesie.

Jeśli pretensje serbskie dadzą się wytłomaczyć, to greckich niczem usprawiedliwić nie można. Ten naród, wszystko zawdzięczający Europie, niczem się nie zasłużył podczas swojej półwiekowej niezależności. Odznacza się on tylko wybujałym indywidualizmem, tak szkodliwym dla idei państwowej, a swą nienasyconą chciwością, fałszywością, ciągłą chęcią wyzyskania sympatji, jaką świat ma dla dawnych Hellenów, do których należą tylko z imienia — wszystko to przedstawia ich jako naród przeżyty, niezdolny do wniesienia niczego do wspólnej skarbnicy ludzkości. Państwo greckie, zawdzięczające wszystko Europie, nie wypełniło żadnego zobowiązania, włożonego na nie przez tę Europę. Stateczne bankructwo, którego koszta poniosą kapitaliści europejscy, nie jest dla Grecji nieszczęściem, lecz intratną operacją, specjalnością tego państwa, którą ono niemal się chwali. Wieczna pożądliwość nabytków, niezrównanie większa od siły i potrzeby, a wywołująca ciągle rozruchy na wyspach tureckich, kością w gardle stanęła już wszystkim. Nie, to państwo nie zasługuje na żadne względy i delikatne perswazje.

Noblesse oblige. Wielkie mocarstwa powinny przecież różnić się od małych. Sprawiedliwość jest w tym razie ich obowiązkiem. Sądzimy, że groźne tupnięcie nogi zupełnie wystarczy do pogaszenia wojennego animuszu Grecji. Niech sobie p. Delyannis pisze noty, dopóki mu starczy papieru i ochoty, a tymczasem mocarstwa powinny nakłonić Turcję, aby zaniechawszy tym razem swych tradycyjnych krętych dróg, szczerze a gorliwie wzięła się do załatwienia bułgarskiego sporu.

Lwów 26 stycznia.

Teatr krakowski należał do niedawna, a nawet jeszcze dzisiaj należy do rzędu tych instytucyj, które, lubo z polityką nie mają nic wspólnego, atakowane jednak bywają ze stanowiska politycznego. Na czele krakowskiego teatru stał przed paru jeszcze miesiącami człowiek, który nietylko był jedną z najznakomitszych głów w pewnem stronnictwie, ale nadto jednym z najwybitniejszych ludzi w całej Polsce. My wszakże nie doroślismy, zwłaszcza w prasie, do tego objektywizmu w sądzie o ludziach, abyśmy przeciwników naszych starali się oceniać o ile można jak najbliżej tego punktu, od którego się już poczyna, jeżeli nie sprawiedliwość, to przynajmniej już sąd potomnych. Do zdania o współczesnych dodajemy zawsze dużo prywatnej sympatji lub antypatji, co wynagradzamy dopiero wtedy, gdy człowiek umrze. To też w Europie mówią, że tylko Polacy umieją świetnie grzebać ale za to tylko my umiemy, co się zowie, zatruwać życie żyjącym.

Przeciwnicy polityczni p. Stanisława Koźmiana ilekroć czuli, że nie mogą go pokonać na politycznem polu, tylekroć uderzali na niego, jako na dyrektora teatru. A łatwem to było im niezawodnie. Bo naprzód na polu estetycznem, wielką zawsze gra rolę gust subjektywny; powtóre, można było zręcznie wyzyskiwać tę okoliczność, iż nowoczesna sztuka dramatyczna zwłaszcza francuska, idzie w kierunku niezawsze licującym z zasadami moralności, za co można było zrzucać odpowiedzialność na p. Koźmiana; potrzecie, cóż było łatwiejszego, jak zwrotami stylowemi pokrywszy różnicę między wielkiemi teatrami zachodniej Europy a małą sceną małego miasta, przyrównywać tę scenę do owych teatrów i mierzyć ją skalą z nich zdjętą. Dawał p. Koźmian dramata i tragedje klasyczne; wtedy się mówiło, że przedstawia sztuki nudne i że wydobywa z pod pyłu bibljotecznego archaiczne utwory, a publiczność tym zarzutom poklask dawała, bo jej gust idzie w innym kierunku; dawał p. Koźmian nowoczesne, trochę jaskrawe rzeczy francuskie, wtedy się mówiło, że robi z teatru szkołę demoralizacji, zdobywało się poklask u purystów i stawało się wobec całego świata na piedestału ludzi o wydelikaconem poczuciu moralnem i dbających o umoralnienie ogółu. W każdym więc razie było się w tej wygodnej pozycji, że mogło się atakować przeciwnika politycznego na polu estetycznem, który najczęściej bronić się nie chciał, a jeżeli kiedy, doprowadzony do ostateczności, wystąpił z obroną i pobił swych wrogów, to obracające rzecz do góry nogami, robili mu oni zarzut, że na nich uderzył nie dla tego, iż krytykowali jego artystyczną działalność, ale dla tego, iż są jego politycznymi antagonistami.

Tak się działo, dopóki pan Koźmian był dyrektorem teatru. Zapominano o jego zasługach, lekceważono to, że scena krakowska wychowała pod jego kierownictwem najznakomitszych w Polsce artystów, że w całej Polsce była jedyną pepinierą artystyczną, że postawiła teatr nasz na wyżynie takiej, na jakiejby on wobec braku politycznej niezawisłości narodu, nie mógłby nigdy stanąć; przeoczono lub zmazano wszystkie zasługi dla tego tylko, że p. Koźmian był równocześnie znakomitą głową polityczną i publicystą miary takiej, jakich się mało w Europie znajduje. Gdyby stał w polityce na gruncie neutralnym, lub gdyby — co jeszcze lepiej — należał do obozu, który uważa, że w polityce należy się kierować nie zimną refleksją, opartą na głębokich historycznych, etnologicznych i ekonomicznych studjach, ale uczuciem, i że dość jest kraj kochać, aby być już mężem politycznym i przewodnikiem narodu, to sława jego jako dyrektora teatru i estetyka sięgałaby do najdalszych zakątków ziemi naszej, a przy jego nieporównanym publicystycznym talencie, byłby wyniesiony na szczyt współczesnych wielkości. Bo obóz ten umie urządzać reklamę, jak żaden inny, a i ma więcej po temu środków. Ale niestety! pan Koźmian należy do stronnictwa, które popularnem nie jest i które popularnem nigdy być nie może bo przemawia do rozumu, który u ogółu niedopuszcza do ucha, a które pan Koźmian do serca. Bo, dają tylko wyjątki, a nie do uczucia, które ma każdy.

Oddaną mu jednak została sprawiedliwość w urzędowym dokumencie, uchwalonym przez najwyższy nasz sąd narodowy, przez Sejm. Komisja budżetowa weszła w tym roku do Sejmu z sprawozdaniem co do 65 pozycji budżetu, zatytułowanej „Teatr polski w Krakowie"; sprawozdanie to tak opiewa (sprawozdawcą był hr. Stanisław Badeni):

„Komisja wnosi zgodnie z Wydziałem krajowym 8,000 zł. z dodatkiem „do rozporządzalności Wydziału krajowego." *W latach poprzednich dodatek ten był zbyteczny, gdyż były dyrektor i kierownik artystyczny teatru dał liczne dowody umiejętnego i starannego kierownictwa, teatr krakowski zawdzięczał mu chwile świetnego rozwoju, a jego osoba była dla Wysokiego Sejmu gwarancją, iż subwencja należycie użytą będzie.* Obecny kierownik teatru zażądał sam utworzenia komitetu nadzorczego, któryby z jednej strony wspierał go udzielaniem odpowiednich rad i wskazówek, z drugiej strony wobec Wysokiego Sejmu, a względnie Wydziału krajowego dawał rękojmię, że subwencja w kwocie 8.000 zł. dotąd uchwalana, służyć będzie do podniesienia sceny w Krakowie.

Komisja budżetowa przyjęła z zadowolnieniem do wiadomości, iż komitet nadzorczy został już przez Wydział krajowy ustanowiony; na przyszłość wypłacenie subwencji musi zależeć od orzeczenia komitetu znawców, czy dyrekcja teatru na subwencję zasługuje."

Urzędowe to oświadczenie najwyższej naszej instytucji zamyka usta wszystkim polityczným przeciwnikom estetycznej działalności p. Koźmiana, a jemu oddaje należyte uznanie, które Wydział krajowy spotęgował jeszcze przez to, że wybrał go do owego nadzorczego komitetu, który ma odtąd kierować sceną krakowską.

Z nad granicy prusko-rosyjskiej 21. stycznia donoszą nam: Koloniści niemieccy, posiadający grunta w Królestwie Polskiem, w gminach Dobrzyn, Lubicz i sąsiednich z niemi, a zapewne i koloniści w innych okolicach otrzymali 14. b. m. od rosyjskiej władzy zawiadomienie, że w ciągu 6 miesięcy powinni sprzedać swe nieruchomości, bo po tym terminie będą musieli opuścić państwo. Równocześnie wydano rozporządzenie, że każdy obcokrajowiec, przybywający do Rosji za wizowanym paszportem, ma prawo pobytu tylko w ciągu pół roku, jeśli od miejscowego gubernatora otrzyma na to pozwolenie pisemne, które się nazywa *widem*. Jeśli obcokrajowiec zechce przebywać dłużej jak 6 miesięcy, to zawczasu powinien postarać się o pozwolenie na to i w tym celu podać do gubernatora podanie ostemplowane sześćdziesięciokopiejkową marką. — Wyjeżdżając zaś z Rosji, każdy obcokrajowiec powinien zaopatrzyć się w pozwolenie gubernatora na wolny przejazd przez granicę.

Zachowanie się granicznych władz rosyjskich z wydalonymi z Poznańskiego zasługuje na zupełne uznanie. Tym, którzy mają dowody przynależności do cesarstwa rosyjskiego, nie robią żadnych trudności, owszem czynią różno ułatwienia, a rzeczy ich, zwykle podlegające ocleniu, pozwalają zabierać bez opłaty cła. Tych zaś, którzy nie mają dowodów przynależności, stanowczo nie przyjmują, a stąd powstają sceny wstrząsające do głębi.

Pruskie władze nie pozwalają tym nieszczęśliwym oddalać się z granicznego pasa, więc się zdarza, że całe rodziny, ubogie, źle odziane i głodne — starcy i niemowlęta — obozują po kilka dni pod otwartem niebem, kostniejąc od zimna. Widok tych nieszczęśliwych może kamienie poruszyć, ale urzędnicy pruscy są niewzruszeni. I zwykle kończy się tem, że żandarm rosyjski daje tym biedakom 14-dniową przepustkę do Królestwa Polskiego. W tym terminie, który w razie potrzeby przedłużają, powinni ci nieszczęśliwi postarać się o legitymacyjne papiery n. p. o metrykę lub świadectwo przynależności do którejkolwiek gminy.

Belgrad 24 stycznia. „Niszańska telegraficzna agencja," źródło wątpliwej wiarogodności, podaje następującą depeszę z Sofji: Do pewnej deputacji rzekł Karawełów: „Nie pozwolimy, aby mocarstwa nami dyrygowały; bez niczyjej pomocy, własnemi tylko siłami, osiągnęliśmy zjednoczenia Bułgarji z Rumelją i nadal będziemy żyli do spełnienia naszego posłannictwa, oglądając się wyłącznie na siebie. Wam, braciom mym, wyznam otwarcie, że dążności nasze nie są zaspokojone dokonaniem unji. Macedonja, Stara Serbja, ba, nawet Serbja aż do doliny Morawy — muszą być nasze. Wtedy będziemy panami całego półwyspu. Wiele jeszcze krwi się przeleje, zanim ten cel osiągniemy, ale każda kropla krwi zbliży nas do ostatecznego zwycięstwa." „Niszańska telegraficzna agencja" dodaje: „Dziennikom bułgarskim zabroniono ogłosić tę mowę." — Z Niszu donoszą, że 21 b. m. przybył tam z Petersburga rosyjski dyplomatyczny attaché przy agenturze bułgarskiej, p. Somów, z listem polecającym od rosyjskiego posła w Belgradzie, aby go swobodnie przepuszczono do Bułgarji. P. Somów dn. 22 b. m. już odjechał do Sofji, a wielu osobom mówił, że wiezie list cara do księcia.—Wyjazd księcia czarnogórskiego do Włoch, a stamtąd do innych państw Europy, daje wiele do myślenia serbskiemu rządowi, który jest przekonany, że ta nagła podróż została przedsięwzięta w porozumieniu z Rosją i zapewne ma na celu coś nieprzyjaźnego dla Serbji. Oficjalnie ogłoszono, że książę pojechał studjować za granicą rolnicze i przemysłowe stosunki, oraz starać się o utworzenie czarnogórskiego towarzystwa okrętowego. Nikt w taki cel oczywiście nie wierzy, bo to nie pora do studjów rolniczych lub przemysłowych, ani też one na nic się nie przydadzą Czarnogórzę, ani wreszcie książę nie jest zdolny do prowadzenia ich. Jedni się domyślają, że książę przygotował jakąś grubą niespodziankę Turcji, albo Serbji i sam wyjechał, aby nie być odpowiedzialnym za wypadek „godny ubolewania," ale już dokonany, więc, wedle dzisiejszych zwyczajów, niecofniony. Inni przypuszczają, że ostatecznym celem podróży księcia jest Paryż, gdzie przy pomocy rosyjskiej zawrze dużą pożyczkę na mobilizację.

Sofja 25. stycznia. Głoszą jakoby Karawełów zamierzył ustąpić i już zawiadomił o tem księcia, rzekłszy mu przytem jakby *pro memoria*, że Bułgarja chce być niezależną. To znaczy, że Karawełów ostrzegł księcia, aby się nie poddawał Rosji. Korespondent *Pol. Corr.* utrzymuje, że powrót rosyjskich oficerów do Bułgarji jest absolutnie niemożliwy. Jeszcze przed wojną między oficerami bułgarskimi i rosyjskimi powstawały ciągłe starcia, podrywające dyscyplinę. Teraz zaś, po opuszczeniu przez Rosjan bułgarskiej armji w chwili tak krytycznej, i po okazaniu przez bułgarskich oficerów militarnych zdolności, — powrót rosyjskich oficerów spowodowałby niebezpieczne rozruchy w wojsku.

Petersburg 23. stycznia. Szlachta kurlandzka przybyła tu z adresem, w którym błaga cara o odwołanie russyfikacyjnych ukazów, znoszących przywileje niemieckiej ludności, zagwarantowane przez carową Katarzynę, a potwierdzone przez następnych panujących. Car nie przyjął adresu, a petentom kazał oświadczyć, że russyfikacja nadbałtyckich prowincyj musi być przeprowadzona, a historyczne przywileje Kurlandji muszą ustąpić przed państwową potrzebą Rosji. Donosząc o tem, *National Ztg.* pisze: „Ale mylą się panslawiści! Niemcy wytrwają, przeczekają złe czasy. Wcześniej, czy później zmieni się ten „ohydny" system."

Ohydny? Tak, ohydny niezawodnie. Ale w tym samym numerze, tylko na innej stronnicy, *National Ztg.* powiada, że przecież nareszcie rząd pruski „rozumny system" zaaplikuje do Polaków!

Z powodu zatargu rosyjsko-perskiego wysadzono w Lenkoranie komisję mięszaną z Rosjan i Persów. Ów zatarg tak powstał: Koczujące plemię Szach-Sewanów od niepamiętnych czasów zimy przepędza ze swemi stadami w cieplych dolinach Persji, a lata — w górach ararackich, których wschodnie grzbiety odpadły od Persji do Rosji po wojnie w 1828 r. Wówczas w traktacie pokojowym zawarowano dla Szach-Sewanów swobodę koczowania po obu stronach granicy, przyczem podatek przez nich płacony w owczych i bawolich skórach w połowie miał iść do skarbu perskiego, a w połowie do rosyjskiego. Wysokość owych połówek była stale oznaczona i latem część swą brali Rosjanie, a zimą — Persowie. — Tymczasem parę tygodni temu, Rosjanie zamknęli granicę przed Szach-Sewanami, zażądali od nich przyjęcia rosyjskiego poddaństwa i stałego osiedlenia się. Szach-Sewanowie sforsowali granicę, przyszło do bitwy z kozakami, którzy zostali rozbici.

Bukareszt 23 stycznia. Tłumnie przejeżdżają tędy do Bułgarji Rosjanie. Każdy ma nozsone na grzbiecie pudło z drobnemi towarami. W paszportach ich powiedziano, że są to *Karobocznicy* (tj. wędrowni handlarze), atoli ich twarze, maniery, białość skóry i język każą się domyślać, że są to ludzie innego zawodu.

Nowy York 23 stycznia. Wykryto równocześnie dwa olbrzymie dynamitowe spiski, jeden w S. Francisco, drugi w Chicago. Uwięzieni milczą, wspólników nie wydają. Wiadomo, że ogromna ich większość jeszcze nie jest schwytana. W Chicago znaleziono 2000 bomb, napełnionych dynamitem, i mapę miasta, na której czerwonemi punktami naznaczono, gdzie miano bomby położyć. Z obliczeń dynamicznych wypada, że gdyby wszystkie te bomby wybuchły razem, to całe miasto obróciłoby się w gruzy. Dotąd niewiadomo, jaki cel polityczny zamierzali osiągnąć spiskowcy tą zbrodnią. Przypuszczają, że są to rozrzuceni po wszystkich Stanach agenci mormonów.

Koleje żelazne w obłokach.

(Ciąg dalszy).

Z początku uważano to za przesąd lub przypadkowy zbieg okoliczności. Badano wodę i czyniono doświadczenia, wskutek których pierwszorzędne naukowe powagi orzekły, iż ta na pozór zupełnie czysta, bezwonna i żadnego smaku nie mająca woda, w której nawet chemiczna analiza żadnych zdrowiu szkodliwych pierwiastków nie odkryła, jest mimo to trucizną [1].

Baron Thielmann w swojem znakomitem naukowem dziele [2] pisze żartobliwie: „iż na szczęście, kto jedzie koleją, jedzie tak wysoko po nad tym zatrutym potokiem, że w żaden sposób nie może być narażonym na pokusę: zrobienia doświadczenia na sobie samym."

W istocie też, jedzie bardzo wysoko; tak wysoko, jak się żaden inny most kolejowy nad żwierciadłem płynącej pod nim wody nie wznosi. Od szyn bowiem do tej zatrutej wody jest 90 metrów! Most ten, czyli raczej wiadukt (gdyż jest rozpiętym ponad całą doliną, i jak się w jednym tunelu zaczął, tak się w drugim tunelu kończy), nie ma drugiego równego sobie na świecie.

Ma cztery otwory. Dwa nadbrzeżne z rozpięciem 33 metrów każdy, a dwa środkowe z rozpięciem po 41 metrów. Oparty jest na trzech filarach z kutego żelaza! z których środkowy mierzy 78 metrów wysokości!

W pewnem oddaleniu wydaje się ten wiadukt, jak żelazna pajęczyna.

Baron Thielmann pisze: „W moich podróżach po Alpach, Kaukazie, Elbursie (góry w Persji) i Kordyljerach, nigdzie nie stanęła mi tak żywo przed oczami zuchwała, można powiedzieć, szalona odwaga człowieka; urągająca dzikości natury i grozie przeszkód, jakie mu stawia na drodze, jak gdym przejeżdżał wiadukt „de las Verrugas".

Za tunelem, do którego się z wiaduktu śliwnąwszy, może sobie podróżny wyobrazić, że się znajduje w paryskim teatrze, gdzie dają *Une féerie*. Krajobraz, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, zmienił się w jednej chwili z najdzikszego w uroczy, prawdziwie w idyliczny.

Kolej powróciła w dolinę Rimaku. Lecz tą razą w **prawdziwą** dolinę, przeszło milę szeroką i parę mil długą; zieloną, bujną, lesistą. Jestto oaza w pośrodku nagich Kordyljerów. Mówię w pośrodku, gdyż ta dolina leży 2400 metrów nad powierzchnią morza. To wysokie położenie i często przechodzące deszcze (których w Limie i na wybrzeżu Spokojnego Oceanu prawie nie znają), przyczynia się do tego, iż panuje tu ciągła wiosna.

Prawie w pośrodku tej oazy leży schludne miasteczko Matucana. Co rok się powiększa, upiększa i podnosi, gdyż od czasu otwarcia kolei żelaznej, wszyscy zamożniejsi mieszkańcy Limy, budują tam wille, zakładają ogrody i przepędzają lato.

Spoglądając z Matucany na wschód, to jest w kierunku, gdzie idzie kolej, widzi się, iż dolina jest zamkniętą z tej strony niebotyczną, jednolitą, wertykalną skalistą ścianą.

Zbliżając się dopiero do tej ściany, spostrzega się w niej szczelinę, którą się Rimac przeciska i słyszy grzmot wodospadu, który w tej szczelinie nieopodal tworzy, spadając jednym skokiem 40 metrów.

Utrzymywanie, iż tamtędy przejechać ma lokomotywa, musi się uważać za ironię lub żart niewłaściwy. Jednakże przejedzie ona rzeczywiście drogą na wzór kreta wyrobioną *), przeskakując przytem nieustannie z jednego brzegu rzeki na drugi, po mostach filigranowych niesłychanej wysokości.

[1] A. Hirsch. Geographische Pathologie. Erster Band. Seite 390.

[2] Freiherr Max von Thielmann. „Vier Wege durch America."

*) Tuneli jest w ogóle 45.

Głosy prasy.

W Kołomyi zaczął wychodzić w tym roku dwutygodnik pod tytułem *Pomoc Własna*. Wyszły dotąd oczywiście tylko dwa numera, ponieważ rok ten liczy dopiero zaledwie trzy i pół tygodnie. A jednak pismo to zwróciło już na siebie uwagę poważnych sfer, tyle w niem oryginalnego, tyle samodzielnego, tyle myśli, jeżeli nie zawsze głębokich, to zawsze efektownych, śmiałych, nie tuzinkowych, nie takich, które walają się dopóty na bruku, aż który z pospolitych wyrobników pióra podejmie je i wydrukuje, ku uciesze tłumów, płacących mu za to oklaskiem i popularnością.

W Kołomyi nie jest zapewne tajemnicą, kto jest wydawcą, redaktorem, duszą i autorem wszystkich artykułów tego dwutygodnika. — W sferach literackich Lwowa wymieniają także głośno nazwisko tej osoby, no a że w sferach przemysłowych całego kraju, zwłaszcza nafciarskich doskonale ją znają, to nie ulega wątpliwości. Wszelako ponieważ ukryła się ona pod zasłoną dwóch innych nazwisk (wydawcy Biłousa i redaktora Michty) przeto delikatność dziennikarska nie pozwala nam jej zedrzeć, pomimo, że mocno jesteśmy przekonani, iż nasi czytelnicy po przeczytaniu ustępów, które zacytujemy z *Pomocy Własnej*, będą mieli żal do nas, że nie podaliśmy im nazwiska człowieka, do którego niezawodnie nabiorą sympatji.

Do rąk naszych dostał się drugi numer *Pomocy Własnej*, a w nim oprócz drobiazgów mniej ważnych, znajdują się dwa spore artykuły. Jeden nosi tytuł: „Walka narodu polskiego o byt“ — i do niego jutro wrócimy; drugi zaś nosi tytuł: „Wojciech Dzieduszycki“ — i o tym pomówimy dzisiaj.

Kto w Galicji nie zna Wojciecha Dzieduszyckiego i kto — pomimo jego przywar (czujemy, że to jest zły wyraz, ale nam lepszy nie wpada pod pióro) — nie kocha go serdecznie tem uczuciem, jakie się ma do umysłu niezawodnie niepospolitego, pełnego oryginalności, fantazji i poetycznego polotu, tym szacunkiem, jakie się ma dla niezwykłej, szalonej pracy i tem pobłażaniem, jaki się musi żywić dla człowieka, który na arenie politycznej popełnia błędy dla tego tylko, że ma właśnie za wiele powyżej wyliczonych psychicznych przymiotów, a za mało zimnej refleksji, trzeźwego spokoju i umiejętności oceniania rzeczy i ludzi w ich prawdziwej szarej barwie, a nie w różowych kolorach własnej wyobraźni. Weźmy przykład. Czyż Wojciech Dzieduszycki temi drogami chadzałby w sprawie ruskiej, gdyby Romańczuków widział w tych barwach, jakiemi ich tak prawdziwie odmalował Jan Lam w swej zacytowanej przez nas niedawno korespondencji do warszawskiej *Gazety Polskiej?*

Autor artykułu w *Pomocy Własnej*, przybywszy świeżo z Anglji, a z usposobienia, jak się domyślamy, trochę podobny do Wojciecha Dzieduszyckiego, nie znał go jednak. Pewnego razu naftowe interesa zmusiły go udać się z Kołomyi do Wiednia. Kupił więc bilet drugiej klasy (bo autor tylko tą jeździ) i wsiadł do wagonu. Na jednej ze stacyj, w Stanisławowie czy w Jezupolu, otworzyły się drzwiczki i wszedł do tego samego *coupé* jakiś mężczyzna „wysoki ale nie muskularny, o wyrazistych, choć dość szorstkich i nieregularnych rysach“ i zaczął z trzecim podróżnym, będącym w *coupé* rozmawiać po niemiecku.

Ustępujemy teraz miejsca autorowi, bo ten ustęp jest mistrzowsko napisany:

„Czaszka podłużna, twarz ściągła, oczy wielkie niebieskie, włosy blond, nos potężny, garbaty, odznaczały go od kwadratowego, płaskonosego, na wpół turańskiego typu ludowej słowiańszczyzny i wskazywały na pochodzenie aryjskie z rasy wojowników i zdobywców. Nie było jednak w twarzy żadnej cechy wybitnie narodowej. Przeciwnie proporcje raczej przypominały pewne rysy angielskie. Smukłością i niepozornością budowy, niskością czoła, długością dolnej części twarzy poniżej ust, przy mniejszej regularności, jest to typ podobny do Wellingtona i do setek żołnierskich rodzin czysto angielskich, tak się różniących od okazałych i atletycznych postaci wielkoludów celtyckich i szkockich, ale je przewyższających niezłomnym hartem duszy i wytrzymałością fizyczną.

Zacząłem się właśnie zastanawiać nad nierozwiązaną dotychczas zagadką nosologów, czy garbate nosy są warunkiem wyrobienia sobie energji, czy też jej rezultatem i czemu przypisać ubolewania godne wyginięcie orlich nosów w Polsce teraźniejszej i zacząłem się pocieszać uwagą, że chociaż marszałkowi Ludwika XIV. i Napoleona Wielkiego wszyscy mieli orle i krogulcze fizjonomie, to przecież pomimo płaskich nosów, Attila i Tamerlan, Dżengiskan i Bismark dali dowody nie mniejszej energji, — kiedy tok moich myśli został przerwany przez coraz bardziej interesującą konwersację przedmiotu moich spostrzeżeń ze swoim sąsiadem. Pokazało się, że obaj, jako członkowie rady państwa, jeden z Bukowiny, drugi z Galicji, zaczęli się zastanawiać nad dalszemi wynikami zajęcia Bośnji przez Austrją, nad misją tej ostatniej na Wschodzie. Uderzyło mnie, że Polak, różniąc się tem od przeciętnego Galicjanina, rozmawiał akcentem czysto niemieckim i zwrotami zaczerpniętemi z literatury wykształconej niemieckiej i z punktu widzenia europejskiego a nie zaściankowego. — Tłómaczył, że wobec abdykacji politycznej i umysłowej Niemców austrjackich, i wobec braku u innych narodowości austrjackich wszelkich myśli ogólnych, obejmujących całe położenie i całą przyszłość Austrji, — wpływ dynastji musi coraz większą zyskać przewagę nad wpływami parlamentarnemi, bo ona jedna ma cel jasno wytknięty, program dalszego rozwoju, a nie tylko biernego utrzymania tego co wypadki stworzyły. Wobec ciągle zmieniających się okoliczności, bierność zawsze prędzej czy później musi uledz inicjatywie, nawet gdyby ta inicjatywa była wywieraną w kierunku nieodpowiednim. Nic łatwiejszego jednak jak tę Dynastję zrobić łącznikiem wszystkich narodowości wschodnio środkowej Europy, zapewniającym im zarazem bezpieczeństwo na zewnątrz i możliwość autonomicznego rozwoju na wewnątrz. Widoczna była we wszystkiem gibkość umysłowa mówcy, i zręczne zastosowanie się do widnokręgu umysłowego Niemca i przedstawienie każdej opinji w sposób, któryby najlepiej mógł mu trafić do przekonania. I to jest zaletą rzadką u nas, bo o wiele wygodniej jest odsądzić przeciwnika od czci i wiary, pocisnąć mu najpodlejsze motywa i uwolnić się w ten sposób od dalszej dyskusji, jako płonnej i bezowocnej, aniżeli postawić się na jego gruncie, i wykazać umiejętnym rozbiorem kwestji, niedostateczność lub niesłuszność jego zapatrywań. — Na razie nie przywiązywałem jednak większej wagi do dyskusji, którą uważałem za akademiczną, nie przeczuwając, że w kilka lat później mój towarzysz podróży, przedstawi te same myśli, tylko w formie już dojrzalszej, jako program polityczny pod nazwą idei jagiellońskich, i że ten program zwróci na siebie powszechną uwagę i stanie się czynnikiem, mającym już pewne znaczenie w polityce europejskiej.

Co mnie bardziej interesowało, to były dalsze obserwacje już w polskim języku nad rozmaitem położeniem Polaków pod trzema zaborami. Opisywał z osobistego doświadczenia Poznańskie, Kongresówkę i Litwę. Ubolewał, że tak mało kto w Galicji zna Warszawę, albo się troszczy o jej poznanie, — a Warszawa przecież, jako stolica umysłowa naszego kraju, jako jedyne wielkie miasto polskie z wyrobionym rodzimym stanem średnim, daleko więcej przedstawia dla nas przykładu i nauki w rozwiązaniu wielu kwestyj społecznych lub ekonomicznych, aniżeli Wiedeń, zkąd do nas nic nie przychodzi, krom tingl-tanglów, zniewieściałości i życia zmysłowego, pozbawionego wyższych dążeń i szlachetniejszych ideałów. — W dalszym ciągu pokazało się, że mówca zna i obce kraje, równie dobrze jak swój własny, — Hiszpanję, Skandynawię, Włochy, Grecję i Wschód, i że mówi po angielsku, równie czystym akcentem, chociaż z mniejszą płynnością jak po niemiecku. — Przez cały czas rozmowy wreszcie, raz po raz wyjmował z głębokich kryjówek dobrze już wysłużonego paltota, t w a r d e j a j a, które starannie obłupywał i z wielką powagą spożywał.

Autor przyjechawszy do Wiednia opisał swym znajomym tę podróż i opowiedział myśli polityczne, które rozwijał w *coupé* nieznajomy towarzysz podróży; ale nikt nie mógł mu powiedzieć, ktoby to był taki; aż dopiero gdy na końcu wspomniał o „twardych jajach,“ krzyknięto chórem: „to może być tylko Wojciech Dzieduszycki.“ I odtąd autor się przekonywał, że ilekroć dla pobudzenia wymiany zdań *mówił o* ideach jagiellońskich, tylekroć ludzie nudzili się i ziewali; kiedy zaś wspomniał o twardych jajach, budziło się u słuchaczy ogólne zainteresowanie. Autora to dziwi i cokolwiek oburza. My w skromności naszej wyznamy mu jednak otwarcie, że wolimy twarde jaja, bo to przynajmniej zabawne, aniżeli owe idee jagiellońskie, za które już ciężko odpokutowaliśmy i przed rokiem i przed kilku miesiącami, i które są pomysłem przeniesionym z innych czasów i z innych stosunków, a przykrojonym niezręcznie do dzisiejszej chwili. To wyrób fantazji i nie refleksji, wytwór polityki poetycznej, czy też politycznej poezji,—co kto woli, w żadnym jednak razie nie produkt nauki stanu.

Autorowi daje jednak to spostrzeżenie sposobność wypowiedzenia trafnej myśli:

„Gdzie indziej — powiada on — aby uzyskać reputację dziwaka i oryginała, potrzeba do tego jakichś orygianlnych poglądów na religię, polityką lub etykę, — zamiłowania jakiegoś wyłącznego do malarstwa, do ceramiki, do emalji cloisonnée albo champlevée, do starych książek lub średniowiecznych okładek, jakiegoś szusu filantropiecznego, lub absorbującego zainteresowania się żeglugą balonową, biegunem północnym lub morzem śród-saharskiem, — studjowania motyli i mrówek, łaskawienia os, lub badania postępu architektonicznego u jaskółek w czasach chrześciańskich, — u nas wystarcza zjeść parę jaj na twardo w wagonie kolejowym, podczas skwarów letnich, przyjąć gości w piwnicy, lub też wy-

---

Okolica, która następuje, jest punktem tej kolei, na którym kulminują przeszkody utrudniające budowę i dzikość natury. Z tego powodu nazwaną jest „Infernillo“ (piekiełko).

Baron Thielmann powiada, że kto zna wąwóz „Via mala“ w Szwajcarji — słynny z swej dzikości — ten może, spotęgowawszy w wyobraźni kilkakrotnie tę dzikość, utworzyć sobie obraz „Infernilla.“

Od Matucana do Chicla, ostatniej stacji na zachodniej stronie Kordyljerów, następują jeden po drugim zdumiewające objekta techniczne. Wyliczać ich nie będę, bo bym mógł znużyć czytelników. Zaś dla „fachowych“ samo wyliczenie, bez przytoczenia rozmiarów i szczegółów budowy, (na co ramy tego szkicu nie pozwalają) nie miałoby również zajęcia.

O jednej tylko szczególności muszę wzmiankę uczynić i posługuję się znowu słowami br. Thielmanna:

„W jednym z tuneli natrafiono na przeszkodę, która niejednego inżyniera europejskiego byłaby zupełnie zderutowała. Natrafiono na bardzo silny podziemny górski potok, który cały spód tunelu, kilkanaście cali głęboką rwącą wodą zalewa. W Europie przełożonoby trasą lub staranoby się wielkiemi kosztami nadać wodzie inny kierunek. Tu jedzie pociąg najobojętniej w b r ó d, środkiem szumiącej i pieniącej się wody.“

Pomiędzy temi dwiema wyżej wymienionemi stacjami, przebiega kolej przeszło sto kilometrów, mija kilka stacyj i po wspaniałym łukowym wiadukcie dojeżdża do Chicla.

Stacja Chicla i licha mieścina tegoż samego nazwiska, leżą 3725 metrów nad powierzchnią morza.

Zupełnie tej samej wysokości dosięga szczyt, powszechnie znanej śnieżnej góry w Alpach Berneńskich, góry „Wetterhorn.“

W Chicla jest tylko jedno, co na wzmiankę zasługuje. Mianowicie: iż w takiej wysokości, w okolicy tak oddalonej od świata cywilizowanego, znajduje się obok kolei porządny hotelik, urządzony po europejsku, z wszelką wygodą.

Baron Thielmann podnosi jako osobliwość, iż w tym hotelu w obłokach jadł wyborny „Wiener-Schnitzl“ i pił doskonałe piwo.

Prawie zbytecznem jest zatem dodawać, iż oberżysta, który nektar Gambrinusa w obłokach rozpowszechnia, jest pewien „Kulturträger.“

Za Chicla staje się teren łatwiejszym. Kolej wznosi się łagodniej, określając wielkie łuki i długie serpentyny. Niebawem znajduje się w regionach wiecznego śniegu — a wkrótce potem przebija grzbiet And tunelem, jak już wyżej powiedziałem: w wysokości szczytu „Mont-Blanc.“

Tunel mierzy 1860 metrów długości i nazwanym jest „Cima Galera“ z powodu, iż inżynierów i robotników pracujących przy jego budowie, dla nadzwyczajnych uciążliwości, na jakie byli narażeni, nazywano galernikami.

Górę w pasmie Kordyljerów (wznoszącą się 5300 metrów), przez którą tunel przechodzi, nazwano „Mount-Meiggs“ na pamiątkę genialnego twórcy tego wiekopomnego dzieła.

Za tunelem znajduje się kolej na olbrzymiej wyżynie, pochylającej się łagodnie ku wschodowi. Schodzi więc bez trudności do miasteczka Oroya i tam się obecnie kończy. Oroya leży 3712 metrów nad powierzchnią morza.

Wojny lat ostatnich i zupełne wycieńczenie skarbu peruwiańskiego, przerwały dalszą budowę kolei, zamierzoną do znacznego górniczego miasta „Cerro de Pasco“, w pobliżu którego leżą bardzo bogate kopalnie srebra.

Z „Cerro de Pasco“ spuści się kolej w porzecze spławnej rzeki „Ucayali“, jednego z głównych dopływów „Amazonki.“

Ucayali wpada do Amazonki pod miastem „Nauta.“ Do Nauta dochodzą już obecnie parowe statki z oceanu Atlantyckiego.

* * *

(Dok. nast.).

brać się na spacer boso **bez butów** i chodzić w wyszarzałem paltocie, ażeby być okrzyczanym za skończonego dziwaka i zainteresować cały kraj. Symptom to zatrważający, bo przy uwadze zwróconej na te pozorne dziwactwa, trudno uzyskać uznanie za rzeczywistą oryginalność poglądów kryjących się za niemi."

Tu następuje biografja Wojciecha Dzieduszyckiego, a raczej jego portret, namalowany zręcznie, barwnie, w wielu punktach nader trafnie, w innych za nadto może pochlebnie, — ale już tego cytować nie możemy, bo byśmy do reszty obrabowali *Pomoc Własną*. Do niej więc odsyłamy szanownych czytelników. Ale tu pozwolimy sobie zacytować jeszcze jeden ustęp z owego artykułu, ustęp, który nam się szczególnie podobał. Doszedłszy do końca biografji, autor zapytuje siebie, czy odgłos (my powiedzielibyśmy rozgłos a nie odgłos) jaki „idee jagielońskie" znalazły w kraju, dadzą ich twórcy wpływ polityczny? I odpowiada tak:

„Najsamprzód wpływ polityczny jest to władza nad ludźmi, nad ich wolą. — Cóż więc w kraju gdzie większa część ludzi ma tylko zachcianki, a nie wolę? — Czyż warto niemi owładnąć, czy się to zda na co? Potem sejmy i parlamenta w kraju wolnym są tylko ostatecznym wyrazem sił społecznych, maszynerją do przeprowadzenia już wyrobionej woli narodowej, do zamienienia w czyn przekonań już wytworzonych pracą samodzielną całego narodu. Gdzież są te siły społeczne u nas, gdzież ta prasa samodzielna wyrabiająca przekonania i wolę całego społeczeństwa? Czyż my nie zaczynamy budować piramidy od sejmu i rady państwa, to jest od szczytu — zamiast od gmin, miast i powiatów, to jest od podstawy. — Czyż przeważna część naszych prac parlamentarnych nie posiada cechy dyskusji akademicznych, lub zabawy w ciuciu-babkę, skrzętnego młócenia słomy, odważnej walki z wiatrakami. Czyż zręczność w zwaleniu odpowiedzialności na cudze barki; lub umiejętność w wyżebraniu, nie uchodzi za większą mądrość polityczną, aniżeli nawoływanie do wytężenia sił własnych? Czyż w słowach ewanielji Gautama Budy, my mając do przekroczenia rzekę wezbraną w chwili, kiedy zbawienie nasze zależy od dostania się do przeciwnego brzegu, zamiast puścić się w pław, lub prom zbudować, nie stoimy raczej na naszym brzegu, załamując ręce, modląc się i wołając: „O przeciwny brzegu, przyjdź do nas!" tak jak gdyby nasze same życzenia bez pracy twórczej mogły ten cel urzeczywistnić. Miejmy to wszystko na uwadze, a nie dziwmy się, że tak często rezultata nie dopisują zamiarom polityków naszych. Nie ma większej tragedji od tej, która się odgrywa w sercu każdego z naszych przewodników, z których każdy czuje, że tak wiele zdziałać potrzeba, a że tak mało zdziałać można. — Dlatego wybaczajmy nie jeden błąd, nie jedno zawahanie się, a bądźmy wdzięczni tym, co pomimo wszystkich trudności, nie tracą otuchy i coraz to nowe zbierają i szykują rozprzęgające się żywioły, w nadziei że powolna a cicha praca narodu wyrobi z czasem te siły społeczne, które z nielicznych hufców, kiedyś uczynią niezwyciężone zastępy."

Nieprawdaż, sz. czytelniku, że takie zdania nie należą do powszednich, że ich się nie słyszy często, a że należałoby je jak najczęściej powtarzać, nauczyć się ich na pamięć.

Z tej wyżyny, na jaką nas wprowadził artykuł *Pomocy Własnej*, musimy zejść na poziom codziennej strawy dziennikarskiej, aby ocenić artykuł *Gazety Narodowej* o mowie Marszałka, zamykającej sesję sejmową. W mowie tej, którą podaliśmy wczoraj w całości, rzekł między innemi p. Marszałek, że z powodu „ustaw i uchwał w kwestji języka ruskiego w szkołach ludowych i średnich, sesja ta zajmie w historji naszych sejmów bardzo ważne stanowisko". I niezawodnie, bo czy tak, czy owak, będziemy patrzali na owe ustawy i uchwały, czy je uważać będziemy za błąd polityczny, czy za krok rozumny, zawsze przecież, gdy wejdą one w życie, zaważą na szali społecznego i politycznego rozwoju naszego kraju. Tymczasem *Gazeta Narodowa* nie widzi w tych słowach Marszałka objektywnego zaznaczenia faktu, ale apologję utrakwizmu, a wskutek tego otacza go dymem kadzideł.

„Naturalnie — pisze ona — że nadając taką wagę owym powziętym uchwałom, naczelnik autonomji krajowej nie miał na myśli brzmienia ich tylko, lecz przytomną mu była całość sprawy, do której się one odnoszą: nasza krajowa kwestja ruska zrobiła przez nie ważny krok dziejowy naprzód ku swemu rozwiązaniu! Takie słowa, z takiego miejsca i w takiej chwili wypowiedziane o tych uchwałach, to danie im należnej, politycznej doniosłości i krok nowy, zrobiony naprzód ku szczęśliwemu kiedyś załatwieniu sprawy. Cóż dopiero, jeśli wspomnimy na osobę najwyższego dostojnika autonomicznego naszego, który je wypowiedział. On, *gente Ruthenus, natione Polonus,* a więc najtwardszy może z nas wszystkich w ścisłych, polskich pojęciach o narodowości, on to podnosi z uznaniem powzięte uchwały. Przy całej powściągliwości urzędowej mowy rozebrzmi po kraju głos ów patrjoty-dostojnika, jak błogosławieństwo dane narodowi na nowych drogach.

„I my z szczególnem uznaniem podnieść musimy te słowa Marszałka, co zelektryzowały dogorywającą sesję, z uznaniem nie dla tego tylko, że zelektryzowały i podniosłe były, lecz że stanowią czyn polityczny, spełniony w imieniu kraju. Jeszcze ustawy nie są odziane najwyższą sankcją, jeszcze los ich niepewny, Marszałek, podnosząc je przecież i jako czyn spełniony przedstawiając, zaznaczył, że kraj wziął **sam na siebie** przez własną reprezentację **swoją** kwestję ruską w posiadanie, i że ustawy i uchwała utrakwistyczna, jakie stąd wypłynęły, są wyrazem niewątpliwym jego woli narodowej. Świadectwo podobne ma niezmierną doniosłość narodową i historyczną, stanowi moment dziejowy w rozwoju kraju".

Jesteśmy najmocniej przekonani, że p. marszałek, wypowiadając te słowa, nie sądził, że tworzy „moment dziejowy w rozwoju kraju".

Urzędnicy państwowi wnoszą do rządu petycję w sprawie „dodatku aktywalnego". Petycja ta przytacza obfity materjał statystyczny na poparcie prośby petentów. — *Dziennik polski* miał sposobność przejrzeć ten materjał, i oto, co z niego podaje:

„Tabelka porównawcza czynszów w Krakowie, Bernie, Pradze, Gradcu, Lublanie, Tryeście, Solnogrodzie, Wiedniu i Lwowie, zestawiona na podstawie dat urzędowych, wykazuje, że czynsze w naszej stolicy o wiele są wyższe niż w Wiedniu, nie mówiąc już o reszcie wymienionych miast.

„Twierdzić można stanowczo, że już w r. 1873. istniały anormalne stosunki pod względem mieszkań we Lwowie; na obecne tak okropnie wygórowane czynsze wpływają jednak rozliczne jeszcze stosunki; i tak: w roku 1872. było 3409 budynków, a mieszkańców 87.110; w roku 1884. było budynków 3700, a mieszkańców 110.250; przyrost więc mieszkańców wynosił 26·6 pct., a budynków 8·5 pct.

„Oczywista musiał się okazać brak mieszkań, a w skutek wymagań właściciela realności czynsz osiągnął szczyt dotąd nigdy niebywały.

„Dalszym zaś powodem drożyzny mieszkań jest wzrost podatków; i tak: w roku 1873. wymierzono podatek domowo-czynszowy we Lwowie 541.904 zł. 59 ct., w roku zaś 1885. z kwotą 649.517 zł. 92 ct, więc przyrost wynosi 10·4 pct.

„Prócz tego wzrósł dodatek szkolny z 1 pct. na 3 pct., gminny z $1^1/_4$ pct. na 3 pct. i przybył grosz czynszowy stosunkowo do wysokości czynszów 3 do 5 pct. Nakoniec ustanowiono od roku 1884. dodatek krajowy od nowych budynków w wysokości 27 pct., który już w następnym roku (1885) wzmógł się do 30 pct.

„Uwzględniając wzrastające coraz czynsze za mieszkania, podwyższył rząd trzykrotnie od r. 1876. kwaterowe dla oficerów. Słuszna tedy, by urzędnicy cywilni równego doznawali traktowania.

„Nędza też pomiędzy urzędnikami cywilnymi okropna; dość przytoczyć, że płace urzędników lwowskich obciążone zaliczkami rządowemi i kondyktami w kwocie 339.015 zł. $15^1/_2$ ct., a urzędników dziesiątej rangi tylko, kwotą 136.721 zł. 84 ct. A któż może policzyć, ileto długów urzędnicy mają w bankach, w instytucjach zastawniczych i u osób prywatnych! Trzeba koniecznie pomocy; rząd powinien przyjść do przekonania, że wobec nędzy rodzin urzędniczych zachodzi konieczna potrzeba spiesznego ratunku. Sądzimy też, że żaden urzędnik nie wyłączy się od podpisu tej tak bardzo na czasie będącej petycji, i że deputacja w Wiedniu wszelkich starań dołoży, by usiłowania jej kolegów o poprawę doli pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały."

MAŁY FELJETON.

Pierwsza miłość profesora.

Dziecięca idylla

przez J. **Widmanna**.

(Dokończenie).

W ciągu kilku tygodni, które oddzielały nas od uroczystości szkolnej doznałem niemało słodyczy i goryczy z tej miłości. Do słodyczy zaliczam np. to, że udało mi się dostać książkę: „Róża z Tannenburgu", którą ona właśnie zwróciła do bibljoteki. Przeczytałem tę powiastkę z niewymowną rozkoszą od deski do deski, a kiedy na stronnicy 89ej spotkałem zasuszonych parę listków, nie posiadałem się z radości i postanowiłem odwdzięczyć się Małgosi za ten, chociaż nie dla mnie przeznaczony podarunek, czemś podobnem.

W ogrodzie naszym stała stara, egoistyczna śliwa. Nazywam ją egoistyczną, bo zwykle przez szereg kilku lat nie wydawała ani jednego owocu. W innych latach zwisało z niej około 30 ogromnych śliwek. Po za tą liczbą nie doprowadzała ona nigdy, nawet w najlepszych latach; ale nikt się za to nie gniewał na sędziwe drzewo, bo brak owoców wynadgradzało ono obfitością cienia.

W pierwszym roku mej miłości, śliwa zrodziła dwa owoce, a ja postanowiłem obydwoma obdarzyć moję rusałkę. Zerwałem je bez wahania, choć wiedziałem dobrze, iż każda z osób przebywających w naszym domu znała osobiście te dwie śliweczki. Ale trudniej przyszło mi wręczyć podarunek. Nie miałem odwagi przystąpić do Małgosi. Gdyby mnie zapytała, co to znaczy, zapadłbym się pod ziemię z wstydu. Sądzę, że wszystkie dzieci, kiedy kochają, są „z plemienia Azra", z tego plemienia, które wedle Heinego woli umrzeć, niż wyznać swą miłość. Myślałem długo nad tem, czy nie udałoby się wręczyć Małgosi śliweczek tak, iżby nie wiedziała, kto je ofiarował.

Wreszcie postanowiłem zaszczycić własnego jej ojca pośrednictwem w tej ważnej sprawie. Każdej niedzieli przychodził on rano golić mego ojca. Na tem oparłem cały plan akcji. Po prostu chciałem mu podczas tej procedury wpakować śliwki do tylnej kieszeni surduta.

Ba, plan ułożyć łatwo, ale go wykonać! Kiedy następnej niedzieli rano podczas golenia krążyłem około upatrzonego pośrednika, niegodziwiec przestrzegł mnie, abym obrał sobie inne miejsce do promenady, gdyż gotów zaciąć mego ojca. Trwożnie cofnąłem się, jak gdyby mnie schwytano na gorącym uczynku. Odtąd najmocniej byłem przekonany, że Hurtig nie jest ojcem mojej ukochanej.

Miałem więc ciągle jeszcze w ręku nieszczęsne dwie śliwki. Żaden żar tak piec nie może, jak dwie śliwki, o których nikt nie wie. Trzymałem je w kieszeni tak troskliwie, jak gdyby to były klejnoty koronne. Wkrótce pokazało się, że jedna z nich poczyna się psuć. Zjadłem ją w imię Boże, głęboko wzdychając; przecież nadpsutej śliwki nie podobna było dać księżniczce Bedralbudurze. Tem silniej postanowiłem ofiarować jej drugą, całkiem jeszcze zdrową. Nabrawszy odwagi, pośpieszyłem za Małgosią, gdy pewnego dnia po szkole poszła do rynku załatwić jakiś sprawunek. Wręczenie nastąpiło pod starą bramą, jedyną resztką murów otaczających niegdyś miasto. Nie mówiąc ani słowa, zbliżyłem się do niej i wcisnąłem jej śliwkę do ręki. Popatrzyła na mnie zdziwiona, a ja i teraz napróżno siliłem się cokolwiek jej powiedzieć; wszystko kołowało mi przed oczyma, brama i pobliska góra i całe miasto. W godzinę później, zadowolniony z bohaterskiego czynu biegałem po pokoju wśród rozmaitych objawów niezwykłej radości, chociaż ze wstydem przyznawałem w duchu, że przecież Aladyn więcej mówił do księżniczki Bedralbudury, niż ja do Małgosi.

Wkrótce zaszedł wypadek, który jeszcze silniej rozdmuchał żar mego dziecinnego uczucia. Miałem ją ujrzeć w aureoli, która opromienia muz i gracyj skronie, na deskach teatru i to pierwszego teatru, jaki kiedykolwiek widziałem. Do naszego miasta zawitała wędrowna trupa. — Druga amantka zaraz na drugi dzień po przybyciu towarzystwa chodziła od domu do domu z afiszami i biletami wstępu. Równocześnie ofiarowała za mierną cenę woskowe owoce, sztuczne kwiaty i tynkturę przeciw bólowi zębów własnego wyrobu.

Na pierwsze przedstawienie wybrano dramat Kotzebuego „Henryk z Burgundji." Rodzice przyrzekli, że mnie z sobą wezmą do teatru. — Można pojąć, jak bardzo się tem uradowałem, gdy mnie doszła wiadomość, że u końca sztuki wystąpi Małgorzata Hurtig w białej sukience, prowadząca białe jagnię.

Dowiedziałem się o tem od innych towarzyszy szkolnych; ich także rozentuzjazmowała niespodziana wiadomość. Wreszcie nadszedł wieczór; siedziałem w pierwszym rzędzie i pełnym zachwytu wzrokiem patrzyłem na starą kurtynę. Od czasu do czasu przez jedną z licznych dziur wystawiał niewidoczny figlarz palec, co wywoływało homeryczny śmiech w audytorjum. Co do mnie byłem na to srodze oburzony; siedziałem tak poważnie, jak gdyby to się działo w Atenach, jak gdybym czekał na przedstawienie Eschylosowego „Prometeusza."

Wspomniany utwór Kotzebuego miał tę wyższość nad greckiem arcydziełem, że był dla mnie więcej zrozumiały. Nowość tak mnie zajęła, że zapomniałem nawet o Małgosi. Jakże podziwiałem młodego księcia burgundzkiego, choć podczas sceny, kiedy w ustroniu leśnem, ścinając drzewo, popisuje się swą siłą, nie przeczuwałem nawet, że właśnie on jest księciem. Jakże czcigodnym wydał mi się rycerz Bonstetten, który charakterystycznym, mocnym głosem przedkładał swe plany wojenne, wiodące zawsze do zwycięstwa. Już nie przypominam sobie dokładnie osnowy całej sztuki. Tylko to pamiętam, że książę Henryk dopiero po długich walkach odzyskał swą dziedziczną ziemię burgundzką. Kiedy wreszcie obwołano go panem tej ziemi, kiedy jej mieszkańcy zgromadzili się, aby mu hołd złożyć, nadeszła najważniejsza chwila przedstawienia: Oto Małgorzata wystąpiła w białej sukience, wiodąc białego baranka, jako symbol nie-

winności itd. Książę schylił się ku niej, ucałował ją w czoło i zasłona spadła. W ciągu tej krótkiej sceny serce biło mnie jak młotem i nic, ani nikogo nie widziałem oprócz Małgosi. — Zaś ona sama wydała mi się dalekim, sennym obrazem, który w każdej chwili mógł się rozwiać w niwecz. Jakoż rozwiał się skutkiem zasłonięcia sceny.

Ale nagle, nadspodziewanie kurtyna się podniosła znowu, a dyrektor teatru oznajmił publiczności, że teraz nastąpi wylosowanie jagnięcia, kto więc jeszcze losu nie ma, może go nabyć za parę groszy. Byłem oburzony na brak delikatnego poczucia, cechujący to oznajmienie. Skromne jagnię, które Małgosia ofiarowała przed chwilą jako symbol niewinności księciu, miano teraz licytować! Doprawdę, zaprzedanie Józefa w niewolę mniej mnie oburzało. Dla czego też nie pojawił się książę, aby ocalić jagnię, które już przyjął? Nie pojmowałem jego obojętności, postanowiłem przeto spróbować szczęścia w licytacji, gdyż, skorobym trafił na wygranę, uratowałbym jagnię. Oczywiście podarowałbym je wtedy Małgosi. Na moję prośbę ojciec kupił kilka losów, które mu jedna z artystek, o ile sobie przypominam, księżna-matka podała w koszyku. Ale nigdy nie miałem szczęścia w loterji. Jagnię wygrał pewien starszy odemnie, nieokrzesany chłopak. Nieśmiało zapytałem, co z niem myśli począć. Zaśmiał się i odpowiedział mi szorstko: „Na noc zamknę je w stodole, a zrana zabiję.— Będzie to wyborna pieczeń." Drżąc od bezsilnego gniewu, a prawie do łez poruszony smutną przyszłością jagnięcia, odszedłem od nabywcy, poprzysięgając mu w duszy wieczną nienawiść. Został ten chłopak później rzeźnikiem. Tak się skończyło niecierpliwie wyczekiwane przedstawienie teatralne. Kiedym dnia tego zasnął, pojawiły mi się rozmaite postacie rycerzy i dziewic, ale tworzyły one dwór nie Henryka burgundzkiego, jeno mej rusałczanej królewny Małgosi.

Tymczasem zbliżał się termin uroczystości szkolnej. Przypadł ten dzień w słonecznej aureoli i zdziwił się pewnie niemało ujrzawszy festony, flagi i tryumfalną bramę w naszem miasteczku. Wszedzie i między wszystkimi panowała uciecha. Wyjątek stanowili jedynie mówcy, którzy nieprzyzwyczajeni do publicznych występów z trwogą czekali na hasło dzwonów kościelnych. Dwóch z nich w ostatniej chwili udało chorych, musiano tedy poprzestać na ośmiu mowach. Jednę, jedyną, która wszystkich zajęła, miał mój ojciec; opowiedział on po prostu o napadzie Husytów na Naumburg i nie mało podniecił naszę ambicją, wskazawszy, jak to gromadka dzieci ocaliła ojczyste miasto. Z kościoła udaliśmy się na plac uroczystości. — Obrano w tym celu małe wzgórze za miastem; stare lipy i drzewa dzikich kasztanów rzucały na nią cień obfity, zaś po drugiej stronie rzeczki, co płynęła u dołu, wznosiło się wzgórze nieco wyższe, porosłe lasem bukowym i patrzące na nas, jak lew na gromadkę mrówek. Dygnitarze miejscy ustawili nas w małe oddziały i z wielkich koszów rozdzielali pomiędzy dziatwę prowiant. — Każdy uczeń dostał także po lampce wina. W wirwarze, który powstał natychmiast po udzieleniu nam swobody, patrzyłem, czy gdzie nie obaczę Małgosi. Wreszcie ujrzałem ciemne jej loki splecione niebieską wstążką.

Stanąłem blisko niej właśnie w chwili, gdy z drugiej strony nadszedł mój przyjaciel Karolek. Ujrzawszy mnie, tak był zmięszany, że nawet go nie spytałem, czy mnie szukał. Wiedziałem bowiem, że tak nie było.

Obydwaj zobaczyliśmy teraz, jak Małgosia innej dziewczynce dała swą bułkę. Powiedziała, że czuje się niezupełnie zdrowa, że chce się napić tylko odrobinę wina. Wolałaby wprawdzie wodę, ale niepodobna jej dostać.

Towarzyszka jej także nie chciała bułki.

— „Daj ją tym chłopcom" — rzekła.

Wtedy Małgosia zwróciła się ku nam i zmierzywszy nas wzrokiem, rozłamała specjał, dając połowę mnie, zaś drugą połowę Karolkowi. Obaj stanęliśmy w płomieniach. Małgosia wydała mi się znowu nadziemską istotą. Jak prawie wszyscy mali chłopcy, odznaczałem się niepoślednim apetytem. Czyż mógłbym był komukolwiek odmówić przyjęcia bułki, a zwłaszcza bułki z pasztetowego ciasta, okraszonej dwoma płatkami kiełbasy?

Nie znałem wtedy jeszcze romansu Zofji de la Roche: "Piękny obraz rezygnacji". Ale przeczucie czegoś podobnego, co mogło się zawierać w książce tak zatytułowanej, tknęło mnie, gdy spojrzałem na Małgosię. — Zwróciła moję uwagę także ta okoliczność, że Małgosia przekłada wodę nad wino, jak to wynikało z jej powiedzenia. Na szczęście miałem przy sobie małą czarkę; oczywiście była ona próżna, ale czyż nie możaby jej napełnić?

Oddaliłem się szybko, aby skąd dostać wody. Nagle usłyszałem za sobą odgłos kroków. Był to mój przyjaciel Karol. Wiedziałem o tem, wcale się nie obejrzawszy, a domysł mnie nie zawiódł. Oto był on już przy mnie i obaj pobiegliśmy do zdziczałego ogrodu, w którym kilka powalonych posągów znowu przeniosło w świat czarów moję wyobraźnię. Tam z ocalałej jeszcze paszczy lwa wytryskał zdrój krysztalny i spadał do rezerwoaru, w którym opadłe listki dały sobie rendez-vous. Obaj równocześnie, nie śmiejąc w twarz spojrzeć sobie, podstawiliśmy nasze czarki pod paszczę.

Ale gdyśmy, napełniwszy je, poczęli biegnąć z powrotem, nie mogłem pohamować mego oburzenia. — „To nie ładnie z twojej strony!" wybuchnąłem. — „Raczej z twojej!" brzmiała odpowiedź. Znowu zamilkłszy, biegliśmy dalej. Po chwili gniew powtórnie rozwarł mi usta i ozwałem się: — „Wiem, z kim chcesz dziś tańczyć!" — „A ja, z kim ty!" odparł Karol. Milczenie i znowu bieg o lepsze.

Już byliśmy blisko ciżby, gdy Karolek się zatrzymał i spytał: „Czy przyrzekniesz mi, że jeśli ja nie będę z nią tańczył, to i ty tego nie uczynisz?" — "Przyrzekam! Ale nie będę tańczył z żadną inną!" — „Ja także!" — „Jeśli nas zmuszą do tańca, tańczmy obydwaj z sobą!" — „Dobrze, odrzekł, ale to wiedz, że jutro wydam ci wojnę." — „Wodną, czy lądową?" spytałem. „Bo ja wolałbym wodną." — On wolał lądową i na tem też stanęło. Jako śmiertelni wrogowie, ale w głębi ciesząc się nadzieją jutrzejszej walki, poszliśmy obydwaj do Małgosi, ofiarując jej wodę. Sromotna spotkała nas odprawa. O te dziewczęta, te dziewczęta! Ona śmiejąc się, wylała przejrzysty zdrój na ziemię. Nie była już spragniona, a przedtem żartowała, tylko Karolek i ja spojrzeliśmy sobie w oczy. Ponieważ obaj czuliśmy się oburzeni na dziewczynkę, więc prawdopodobnie łatwo byłoby przyszło do zgody, gdyby nas nie odtrącała od siebie wesoła nadzieja zapowiedzianej na jutro wojny.

Tymczasem ozwała się muzyka, wzywając uczestników uroczystości do tańca; Małgosia wraz z innemi dziewczętami pobiegła na trawnik, na którym miano tańczyć. Gdyśmy się i my tam dostali, panował już ruch taneczny w całej pełni. Najmniejsze dzieci tańczyły w samym środku, większe dokoła. Podziwiałem zgrabność kręcących się w kółko chłopców i dziewcząt. Pewna wysoka uczennica czwartej klasy, tańcząca z piętnastoletnim kadetem mazurkę, wydała mi się co najmniej taką mistrzynią w sztuce tańca, jaką była Herodjada, która wytańczyła sobie głowę świętego Jana. Małgosia wcale o nas się nie troszcząc, także tańczyła. My przypatrywaliśmy się tylko i z razu stawialiśmy energiczny protest, kiedy nas wzywano, abyśmy wzięli udział w zabawie. Kiedy jednak i rodzice nasi zaczęli na to nalegać, objęliśmy siebie i nuż hopki wycinać zupełnie, jak dwa młode niedźwiedzie. Kto nas tylko ujrzał, wybuchał śmiechem. Ale nam wcale było nie do śmiechu. Któryż z tragików wpadłby na pomysł podobnej sytuacji, w której dwaj śmiertelni wrogowie w przededniu bitwy na wyższy rozkaz chwytają się w ramiona i tańczą, jak opętani?

Skorzystaliśmy z pierwszej sposobności, aby umknąć z miejsca pląsów i każdy z nas, pomny o jutrzejszej walce, począł werbować żołnierzy pomiędzy kolegami. Mnie szło pod tym względem o wiele lepiej, niż Karolkowi; tylu najdzielniejszych chłopców stanęło pod moim sztandarem, że już teraz uważałem się za zwycięzcę. To uczyniło mnie dumnym. Kiedy więc pewien ubogi, ale — wysoki chłopak chciał się także zaciągnąć w moje szeregi, nie przyjąłem go, mówiąc, że nie potrzebuję mieć w mej armji obdartusów.

O końcu dnia uroczystego nic nie mam do opowiedzenia. Przed oczyma duszy ja i Karolek widzieliśmy podobnie, jak Macbeth w nocy morderstwa, same dobyte miecze. Nawet Helena tego sporu stanowiła drugi plan w obec walki. Że zresztą zwerbowani wojownicy nic nie wiedzieli o powodzie do rozpoczęcia nieprzyjacielskich kroków, to się rozumie samo przez się.

Nazajutrz zaraz rano poczęliśmy czynić przygotowania. Bitwa miała zawrzeć dopiero po południu, a na plac boju obraliśmy drogę przytykającą do naszego ogrodu. Jeszcze dotąd przypominam sobie, jak wraz z moją młodszą siostrzyczką chodziliśmy rano po mieście, aby sojusznikom przypomnieć przyrzeczenie.

Zaraz po południu cały nasz ogród roił się od młodych bohaterów. Szczęśliwym trafem moi rodzice wyjechali tego samego dnia na wieś, więc też nic nie stało nam przeszkodzie. Siostra wyniosła z piwnicy cały kosz jabłek i obdzieliła niemi moje bitne szeregi. Również dwa potężne bochenki chleba znikły z przerażającą szybkością w młodych gardziołkach. Po raz pierwszy przyszło mi wtedy na myśl, że nie drobnostka to być musi, wyżywić armję. Przewidując srogi krwi rozlew, moja siostrzyczka pokrajała białą chustkę na wązkie paski, mówiąc, że z pewnością przydadzą się one jako bandaże. Liście bzu miały służyć za plaster dla rannych. Przed ogrodem stało dwóch najzaufańszych wojowników na straży; jako obdarzeni najważniejszym obowiązkiem, najwięcej też zjedli chleba i jabłek. Byłem niewymownie szczęśliwy, patrząc na ten tumult. Wprawdzie niezbyt mnie cieszył widok podeptanych grządek, ale cóż to znaczyło w obec zaszczytu przewodzenia armji złożonej, co najmniej, z 30 chłopaków. Tak byłem przejęty wysokością mego zadania, iż prawie zapomniałem o powodzie do walki, o Małgosi. Nagle straż zawołała: „Nieprzyjaciel zbliża się! Do broni!" Wszyscy pobiegliśmy natychmiast ku altance i rozchwyciliśmy złożone w pobliżu niej tyki, jako dzidy. W niezbyt wzorowym porządku wylęgliśmy potem na drogę, na którą wchodził już właśnie nieprzyjaciel. Miał on wygodną pozycję, bo szedł z góry, a więc z większym impetem. Ale gromadka jego była nieliczna. Karolek, zamiast przewodzić trzymał się wstecz po za szeregami i miał przy boku bęben; śmieszyło mnie to, a nawet smuciło, gdyż mimo serdecznego antagonizmu i tej walki, kochałem go, jak przedtem.

Dobyłem teraz szabelki i jak opętany wrzasnąłem: "Do ataku!" Walka się rozpoczęła. Nieprzyjaciel wyglądał na zatrwożonego tylko w pierwszej chwili, mianowicie, kiedy ujrzał, że moja armja jest tak liczna. Ale teraz z zimną krwią stawił nam czoło. Moje wojsko poprzestawało zrazu na krzykach i na uderzaniu tyk o ziemię.

Jednakże wkrótce wpadła między nas grudka ziemi, która mego adjutanta, najodważniejszego z całej gromadki uderzyła w piersi Upadł on natychmiast, udając ciężko rannego Towarzysze jego, nie spostrzegłszy się, że tc niemoc udana, przerażeni podali tył nieprzyjacielowi. Wtedy z przeciwnych szeregów, nib Winkelried wyskoczył ów wzgardzony „obdartus" i wpół mnie ująwszy — (wydał mi się wtedy Goljatem) — uciekł z tym cennym ciężarem napowrót do swoich.

Naprożno broniłem się szabelką. Widząc, że to nie pomoże, zacząłem krzyczeć do moich rycerzy: „Ratujcie mnie, ratujcie!" Ale odwróciwszy głowę, ujrzałem, że poszli całkowicie w rozsypkę i jeden drugiego prześcigając, wspinali się przez płot, a potem chowali się za krzaki w ogrodzie.

Tak więc pobity dostałem się do niewoli, do mego byłego przyjaciela. Nie dorósł on do tragizmu sytuacji, gdyż bębnił ciągle dalej, jak gdyby oprócz bębna nic go nie obchodziło. Porwany przez jego żołdaków musiałem odbyć daleką pielgrzymkę po rozmaitych ogrodach, a wreszcie dostałem się do chlewa i tam zostałem zamknięty.

Ach, jakże mnie to więzienie upokarzało! Wobec prozy chlewa opuściła skrzydła moja fantazja. Miłość do księżniczki Bedrulbudury nie zdołała przetrwać tej próby. W kilku chwilach wszystkie moje mrzonki rozprysły się jak bańka mydlana.

Dopiero wieczorem jakieś poczciwe człowieczysko, przechodząc obok chlewa, wzruszony memi prośbami, uwolnił mnie z więzienia. Wchodząc do domu, czułem się niewymownie upokorzonym. Rodzice wrócili już i wiedzieli o bitwie; świadczyły o niej podeptane grządki, a siostra zapytana, skąd się wzięły te ślady, nie mogła zachować tajemnicy. Najbardziej dziwiło rodziców to, że walka wybuchła między mną a Karolkiem, którzy przecież byliśmy tak serdecznymi przyjaciołmi.

Przez długi czas odmawiałem wszelkich w tym kierunku wyjaśnień. Wkońcu jednak ze skruchą — zanosząc się od płaczu — wyznałem wszystko. Ojciec nie szczędził ironicznych uwag. A kiedy w kilka dni później przez matkę dowiedziałem się, że Małgosia nazwała nas obydwóch głupcami, wiadomość ta niby szron do reszty zwarzyła miłość moję. Mimo to z Karolkiem pogodziłem się dopiero w zimie. — Rodzice dla uświetnienia uroczystej chwili dali nam śledzia i dwie szklanki piwa, my zaś sami na znak utrwalenia pokoju wypaliliśmy skrycie w sieni fajeczkę, zastąpiwszy tytoń surogatem z pokrajanych liści burakowych.

* * *

Na tem zakończył Müslin opowiadanie o swej pierwszej miłości.

KRONIKA.

Mianowania. Rada szkolna zamianowała Michała Kronnenberga rzeczywistym nauczycielem szkoły etatowej w Łęgu ad Partyń; Jana Zielińskiego rzeczywistym nauczycielem szkoły etatowej w Tuchowie; Stanisława Hupałowskiego rzeczywistym nauczycielem szkoły w Snowiczu.

Bankiet klubowy. Klub prawicy zeszedł się na wspólną, postną ucztę w piątek w hotelu Europejskim w całym swoim komplecie. Pierwszy toast wzniósł członek Izby Panów, Polanowski, na cześć hr. Alfreda Potockiego, na który odpowiedział p. Potocki, wznosząc kielich na pomyślność klubu. Poseł Erazm Wolański wzniósł zdrowie prezesa klubu Kazimierza Grocholskiego, o czem przesłano mu wiadomość telegraficznie do Abazji, zkąd nadeszła odpowiedź z serdecznem podziękowaniem. Poseł Władysław Wolański wzniósł zdrowie członków klubu z zachodniej części kraju. Hr. Stanisław Tarnowski w gorących słowach uczcił posłów z ziemi sanockiej. Poseł Tomisław Rozwadowski pił zdrowie członka Wydziału krajowego hr. Władysława Badeniego. Hr. Artur Potocki wymownemi słowy, bardzo sympatycznie przyjętemi, wzniósł „kochajmy się“, a zakończył życzeniem, aby obecni na uczcie Namiestnik i Marszałek krajowy kochali się zawsze dla dobra kraju. Uczestnicy i członkowie klubu rozeszli się pod wpływem tego toastu w serdecznym nastroju — a posłowie udali się na ostatnie posiedzenie Koła polskiego.

Edward Pailleron, autor wybornej komedji „Świat nudów“, napisał nową trzyaktową sztukę p. t. „Mysz“, przyjętą już do grania w teatrze francuskim.

P. Tadeusz Ajdukiewicz, artysta-malarz, przenosi pracownię swoją z Krakowa do Wiednia.

P. Józef Czarnek otrzymał dnia 14 b. m. stopień lekarza weterynarji w c. k. szkole weteranarji we Lwowie.

Zmarł w Krakowie Aleksander Szyszyłowicz, uczestnik kampanji Mierosławskiego i więzień Moabitu, przeżywszy lat 66.

Z życia towarzyskiego. W niedzielę był bal i kulig u hr. Łączyńskich. Wesele krakowskie przy odgłosie muzyki weszło na salę, a p. Skorupka prowadząc pochód z panną Łączyńską, odśpiewał następującego krakowiaka;

Dziś, w tych czasach przesilenia,
słychać zewsząd „Bieda!“
Lecz Krakowiak się i biedzie
zawojować nie da.
I skoro się tak gościnne
podwoje otworzą,
Mimo biedy do hołubca
podkówki się złożą.

Zanim jednak pójdziem w pląsy,
trza — jak zwyczaj każe —
Pozdrowienie złożyć najprzód
gospodarskiej parze.
A w epoce utrakwizmu
czyż Krakowiak wita
Innem jakiem pozdrowieniem
jak „Mnohaja lita!“
Więc „Mnohaja“ naprzód „lita!“
na cześć gospodyni;
Pana, co i w Melpomeny
kapłanem świątyni.
Potem na cześć córek obu,
niech im szczęście służy:
Tej, co pączkiem jeszcze, i tej,
Co kwiatem już róży!

Wybory do rady miejskiej zakończyły się wczoraj o godzinie 9. wieczorem. Głosujących było 3318, absolutna większość 1661. Lista pierwotna komitetu miejskiego zyskała głosów 1500, taż sama z modyfikacjami otrzymała 400 głosów, lista zaś „Łączności i Zgody“ 1049 głosów, „Bezstronnych“ 301 itd. Komisja skrutacyjna pracować będzie co najmniej trzy tygodnie, żeby wypłynąć z chaosu 331.800 głosów (3318 głosujących na 100 kandydatów), poczem ogłosi rezultat, w którym odzwierciedli się jasno ekonomiczno-polityczny program większości obywateli naszego grodu.

O życiu towarzyskiem Lwowa pisze „Marcin z Błonia“ — poważny, wytrawny i wielce przyzwoity korespondent *Wieku*, — w ostatnim swym liście, co następuje:

„Lwów jest teraz niezmiernie ożywiony. Słusznie ktoś powiedział, że Kraków ma salon naukowo-literacki, Lwów jest na drodze do salonu politycznego; panie posłowe nauczyły się wybornie całej rutyny parlamentarnej; rozprawiają przy herbacie o wniosku p. Romańczuka, lub różnych pozycjach budżetu, podobnie jak panie krakowskie zwykły rozbierać ostatnie artykuły dwóch Przeglądów, lub Przeglądu dwóch Światów. W Krakowie polityka, we Lwowie literatura, zaledwie jest tolerowaną w salonach. Krakowskie Towarzystwo, pod względem opinji politycznej, zalicza się do jednego stronnictwa i obozu. We Lwowie dyskusje i współzawodnictwa klubów, przenoszą się wieczorem do salonów, gdzie spotykają się razem w najlepszej harmonji, posłowie z centrum i z prawicy, należąc do jednej sfery, a często i rodziny.

Pierwsze miejsce zajmuje tam oddawna tradycyjnie salon hr. Alfredów Potockich, odznaczający się niezmierną gościnnością. Pani Marja Potocka zwykła dawać sobie nazwę: „La vivandière de la Diète“. Wielka swoboda panuje w tym salonie, który przez małżeństwo hr. Romana z ks. Radziwiłłówną, nabrał wiele ożywienia.

Świeżo u hr. Potockich przedstawiano teatra amatorskie i obrazy z żywych osób.

Na recepcjach u marszałka Zyblikiewicza, p. Al. Potocka spełnia obowiązki gospodyni. Recepcje te nie mają urzędowej sztywności, a dodaje im świetności wspaniały apartament gmachu sejmowego, ozdobiony wielkim obrazem Matejki „Unia Lubelska“ i przepysznemi portretami marszałków, pędzla Matejki, Rodakowskiego i Siemiradzkiego.

W pałacu namiestnikowskim, oprócz urzędowych recepcyj i obiadów, odbywają się często zebrania w ściślejszem kółku, gdzie gospodarstwo dają zupełnie zapomnieć, że się znajdujemy w apartamentach rządowych. Lwów posiada bardzo wiele możnych domów, a pomimo ogólnych skarg na ciężkie czasy, nie możnaby ich poznać, sądząc po tualetach dam, liberjach, ekwipażach i sposobie podjęcia.

W okazałym pałacu Gołuchowskich, wdowa długoletniego namiestnika, otwiera od czasu do czasu swe salony. Pałac ks. Sapiehów o wiele mniej w tym roku otwarty, z powodu niedawnego zgonu Edwarda Stadnickiego, zięcia ks. A. Szkoda, bo dom ks. Sapiehów zawsze dawał przykład wielkiej prostoty i hasło reakcji przeciw zbytkom. Temu kierunkowi pozostają zawsze wierni hr. Włodzimierzowie Dzieduszyccy i ks. Romanowie Czartoryscy. Dodajmy jeszcze dwa domy hr. Dunin-Borkowskich (Włodzimierzowie i Jerzowie), hr. Lanckorońską, pp. Jędrzejowiczów, państwa Wolańskich, panią Comello, a możemy zdać sobie sprawę z ożywienia i ruchu towarzyskiego we Lwowie podczas Sejmu. Towarzystwo to jest i liczne i świetne, jest tylko trochę zbyt specyficznie galicyjskie; nie ma w niem tej ciągłej łączności z innemi dzielnicami kraju, które stanowi główny urok Krakowa. A rzecz dziwna, że różnica obyczajów tych dwóch miast, głównie na tem polega, że we Lwowie wstęp nader łatwy, lecz stosunki nigdy się nie ścieśniają, w Krakowie przeciwnie trzeba łamać lody i przebywać niekiedy długi nowicjat, ale raz zawarte stosunki, przybierają charakter ścisłej przyjaźni.

Lwów ma poniekąd jeszcze podział kastowy, Kraków przeciwnie, podział koteryjny; mówiąc jaśniej, Lwów nie przypuszcza nikogo ze sfer inteligencji miejskiej, może dla tego, że te sfery i opinjami, formami hałaśliwej demokracji odstręczają; Kraków przeprowadził alians arystokracji rodu, z arystokracją nauki i sztuki, a oparł go na wspólności zasad i kierunków. Pomimo licznych prób, antitezy tych dwóch miast nie dały się dotąd wyrównać i usunąć, choć uprzedzenia może w tej chwili znacznie osłabły“.

„Sokół“ urządza dnia 13 lutego we własnej sali wieczorek welniany. Znawcy zapewniają, że... podłoga w sali jest wyśmienita.

Kursa gimnastyki dla płci pięknej, otwarte będą w lwowskim „Sokole“ od 1. lutego: jeden dla dziewcząt od lat 8 do 12, drugi dla starszych panienek. Wejdą te kursa w życie pod warunkiem, że do każdego zgłosi się co najmniej 20 uczennic, posiadających świadectwa lekarskie, jako wolne są od wad organicznych, wykluczających możność oddawania się ćwiczeniom. Świadectwa takie wydawać może każdy lekarz domowy, ze strony Towarzystwa zaś uproszeni zostali do tego pp. dr. Bylicki, dr. Stroynowski i dr. Kniaziołucki.

Bez wieści znikł z Tarnowa we wrześniu 13 letni Józef Mikulski, uczeń 4 klasy, blondyn, ściągłej twarzy, z blizną po lewej stronie nosa, mający zwyczaj trzymać duży palec lewej ręki w ustach. Poszukuje go rodzina.

Poszukiwanym jest Maksymiljan Abendroth 22-letni młodzieniec, brunet, o nieznacznym zaroście, od d. 18 b. m. nieobecny w domu rodzicielskim przy ul. Dominikańskiej pod l. 1.

Do Lwowskiego Komitetu opieki nad wygnańcami z Prus wpłynęły następujące datki:

Za pośrednictwem redakcji *Samorządu*: pani Eug. Soz. 1 zł., pan Fr. Pil. 65 ct., P. M. T. 35 ct. Zebrane w administracji *Kurjera Lwowskiego*: 242 zł. 10 ct. Grono myśliwych z polowania urządzonego w Hostowie i Krzywotułach za każdy szczęśliwy strzał, złożyło za pośrednictwem p. M. Skrzyńskiego 13 zł. 30 ct., p. Fr. Pill. ze Stryja 1 zł.

Lwów 25. stycznia 1886.

Jan Dobrzański, przew. komitetu.

Jeszcze się trzyma. Przed kilku dniami otrzymał burmistrz miasta Wiednia podanie z prośbą, ażeby zaopatrzenie, które pobiera Magdalena Panza z domu ubogich, łaskawie podwyższyć raczył. Prebendarjuszka ta urodzona w roku 1775, liczy lat 111 — jest zatem najstarszym — w tym wieku można pozwolić sobie tej licencji gramatycznej — mieszkańcem Wiednia. Mimo tego ciężaru lat, Magdalena Panza przypomina sobie jeszcze żywo czasy Józefa II. *Eine fesche Wienerin!*

Rektyfikacja. Wobec rozgłoszonej przez *Dziennik Polski* wiadomości, jakoby dyrektor gal. Zakładu zastawniczego i kredytowego, p. Kaź. Gamrat, dopuścił się defraudacji 40.000 zł., zostaliśmy uproszeni o umieszczenie listu wystosowanego w tej sprawie do redakcji *Dziennika Polskiego*, który też poniżej w całości podajemy, a to tembardziej, że *Dziennik Polski* tylko część tego listu zamieścił. List ten tak opiewa:

Do Szanownej Redakcji *Dziennika Polskiego*.

Syn p. Kazimierza Gamrata, dyrektora Zakładu zastawniczego i kredytowego w gmachu teatralnym, zwrócił uwagę moję na doniesienie kroniki *Dziennika Polskiego*, z dnia 16 b. m., zatytułowane: *Bank się wali*... w którem Szanowna Redakcja ogłasza o tymże p. dyrektorze Gamracie, jakoby nie tylko swój udział w Zakładzie zawczasu wycofał, ale nadto 40.000 zł. ze sobą z niego zabrał. Otóż, jakkolwiek buchalterja rzeczonego zakładu powierzoną mi została przez komisję kontrolującą Zakład dopiero w parę miesięcy po wyjeździe p. Gamrata, który wyjeżdżając pozostawił ją nadal w ręku dawnego buchaltera Zakładu, p. Michała Majewskiego; pomimo to jednak jestem w możności, a więc uważam i za swój obowiązek zaświadczyć niniejszem stanowczo, a to na podstawie prowadzonych przezemnie ksiąg Zakładu, iż p. Gamrat, wyjeżdżając ze Lwowa na początku zeszłego kwietnia za kilkomiesięcznym urlopem, udzielonym mu przez Radę nadzorczą Zakładu, nie tylko owych 40,000 zł., jak to *Dziennik Polski* rozgłosił, ale nawet ani 40 ct. ze sobą z Zakładu nie zabrał, lecz na podróż, w prywatnym swym interesie podjętą, u osobistych przyjaciół swoich się zapożyczył. Nie godzi mi się zatem powątpiewać ani na chwilę, że Szanowna Redakcja pospieszy z odwołaniem podobnej kalumnji, rzuconej na nieobecnego człowieka, a uczynić to zechce nie tylko ze względu na słusznie zaniepokojonych już zkądinąd, i to w wysokim stopniu, klientów rzeczonego Zakładu, ale choćby tylko przez wzgląd na i tak już bardzo nieszczęśliwe ośmioro dzieci, niesłusznie przez Nią obwinionego. Nie dorzucajmyż piętna tak haniebnej rozmyślnej zbrodni, która nie została popełnioną, do popełnionych błędów i win, które spowodowały obecny stan Zakładu.

Z wyrazem winnego poważania

Karol Bielański.

Lwów 25 stycznia 1886.

Wypadki. Aron Tadanier, szeregowiec 80 pułku piechoty, zastrzelił się w szpitalu garnizonowym przy ul. Łyczakowskiej z obawy kary za chwilowe opuszczenie warty.

Blisko stacji Podzamcze, lokomotywa pociągu ciężarowego przejechała włościanina z Krzywczyc Alberto Kabara; uległ on zgruchotaniu lewej nogi.

W Filipopolu zrobiono wielkie przygotowania do godnego przyjęcia księcia Aleksandra. Byłby to nowy znak, że książę otrzymał od Porty znowu solenne przyrzeczenie pod względem utrzymania unji; śmiało więc przypuszczać można, że podczas podróży księcia zajdą objawy, które pozwolą wnioskować o przyszłym stosunku prowincji do księstwa.

Menu słonia. Miss Bezzi, słoń, który swym stałym pobytem zaszczyca ogród zoologiczny we Frankfurcie n. M., poprzestaje na bardzo skromnych ucztach. Zjada on dziennie około siu funtów siana i trzy bochenki chleba o łącznej wadze ośmnastu funtów, do czego wypija wiadro wody.

Ponieważ bardzo lubi legowisko wysłane słomą, przeto nie żałują mu jej i ogromną masę tego materjału dają na podściółkę. Podściełanie to odbywa się codziennie, bo w ciągu nocy „ulatnia się“ słomiana pościel... miss Bezzi zjada ją.

Tak więc do definicji słonia przybywa jeszcze jedna: „jestto zwierzę, które zjada swą pościel.“

Dr. praw katem. Znany w Rzeszowie dr. praw i obrońca w sprawach karnych Czupka, były koncypient adwokata dr. Bindera, bawi obecnie w Ameryce w mieście Chicago. Ożenił on się tamże powtórnie z córką kata i za protekcją teścia swego otrzymał taką samę posadę. *Tygodnik Rzeszowski* winszuje Ameryce tak inteligentnego kata, którymby się Europa poszczycić nie mogła.

Wspaniały podarunek dla muzeum Luwru otrzymało państwo francuskie od komitetu lubowników sztuki, którzy *tout comme chez nous* nie chcieli pozwolić, aby znaczny zbiór dzieł artystycznych dostał się za granicę. — Na czele listy składek stoi Alfons baron Rotszyld, który ofiarował 40.000 fr., dalej jego siostra Natanjelowa br. Rotszyldowa, jego bracia Gustaw i Edmund. — Reszta ofiarodawców składa się ze znaczniejszych bankierów paryskich, lubowników i krytyków sztuki.

Prawdziwie monarszy ten podarunek stanowią: 1) „Chrystus umierający“ Cruvelliego, znajdujący się niegdyś w galerji obrazów cesarzowej Józefiny w Malmaison; 2) „Objawienie“ Fra-Angelico; 3) „Dziewica przy studni“ Sandro Botticelli; 4) „Św. Jerzy“ Lukasa Gassel; 5) „Madonna z lilją“ Hugona van der Gaes, obraz malowany przez artystę dla Jana Grimaldi z swoją małżeństwa jego z córką ks. Sabaudji. — Wszystkie powyższe obrazy uznane za autentyczne i ofiarowane z warunkiem, aby po wszystkie czasy zdobiły sale Luwru.

Rząd francuski z wdzięcznością przyjął tę artystyczną ofiarę.

Teatr. Dziś we wtorek „Trubadur“, opera w 5 aktach Verdi'ego. Jutro „Deputowany z Bom-

bignac", kom. w 3 aktach z franc. H. Bisson i po raz drugi „Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło", fraszka sceniczna w 1 akcie Stanisława Obertyńskiego. We czwartek po raz 3 „Jadwiga", opera w 4 aktach Henryka Jareckiego. W piątek na dochód Józefy Woleńskiej „Margrabia de Villemer", kom. w 4 aktach George Sand.

Część ekonomiczna.

Telegramy zbożowe z dnia 25. stycznia. Wiedeń; okowita per 10.000 lit., procent 25·— do 25.12 złr. Budapeszt: Pszenica 100 kilogr (na wiosnę) 7·88—7·90 złr. rzepak (sierpień-wrzesień). 10·75 do —·— złr. Berlin: Pszenica żółt (na kwiec.-maj) 151·— m., żyto —·— m., spirytus 38·—, olej rzepakowy —·— m. Paryż: mąki 159 kilogr. 53·50 fr.

Telegramy „Przeglądu"

Wiedeń 26. stycznia. Wieści o memorjale Andrassyego i o kontramemorjale Kalnokyego są prostemi plotkami. Zaczęło tu wychodzić nowe autografowane pismo po francusku, które nie ma żadnych stosunków, więc chce senzacyjnemi plotkami robić sobie reklamę — za granicą. Francuskie dzienniki zaczęły się chwytać na ten lep, lecz już się spostrzegły.

Wiedeń 26. stycznia. Dyrektorem Teresianum mianowany br. Pidol sekretarz ministrjalny, ma lat 36, jest kolegą ministra Gautscha, miał dotąd tylko szkolne referata, sam kończył Teresianum, jest to człowiek nauki, znany przyjaciel dzieci. — pod względem politycznym zupełnie neutralny.

Belgrad 26. stycznia. Określono już warunki pokoju, jakie poda ze swej strony Serbja. Mijatowicz został powołany do Niszu, aby odebrał instrukcje przed odjazdem do Bukaresztu. W obec pokojowego usposobienia rządu serbskiego można się spodziewać, że pokój rychło dojdzie do skutku, jeśli delegat Porty Madżyd basza i Geszow otrzymali pokojowe instrukcje.

Petersburg 26. stycznia. *Journal de St. Petersbourg* mniema, iż rząd grecki mimo odmownej odpowiedzi w obec żądania mocarstw poskromi swą namiętność, tem bardziej bezpożyteczną, że mocarstwa stanowczo zdecydowały nie dopuścić do żadnych zmian terytorjalnych i uważałyby je za wykroczenie przeciwko postanowieniom traktatu berlińskiego.

Berlin 26. stycznia. Pod względem wysp Samoa trzyma się rząd tej samej metody postępowania, jak przy innych kolonjach, to jest, że politykę swoję stosuje do istniejącego faktycznego stanu i interesów kupców niemieckich. Po porozumieniu z osiadłemi tam Niemcami i z eksporterami będzie się rząd domagał podziału grupy Samoa między trzy państwa. Niemcom przypadłaby wyspa Upolu, Anglji Sawai, Ameryce Tutnila.

Berlin 26 stycznia. Komisja Reichstagu uchwaliła rezolucję żądającą, żeby Bank państwa poczynił ułatwienia kredytowe dla rękodzielników i małych rolników.

Budapeszt 26 stycznia. Posiedzenie Izby magnatów. Na interpelację Andrassego o stanowisko zajętem przez monarchję względem projektowanej personalnej unji Bulgaryj, odpowiada Tisza, iż starania rządu zdążają do tego, aby za porozumieniem mocarstw kwestję tę rozwikłano w sposób jedynie możliwy do trwałego zażegnania burzy. Ze względu na jeszcze toczące się w tej sprawie rokowania, nie może minister nic powiedzieć nad to, iż w Atenach na wniosek Anglji wręczyli reprezentanci mocarstw Delyannisowi zbiorowe oświadczenie, oznajmiające, iż mocarstwa nie zezwolą na żadną akcję morską Grecji.

Berlin 26 stycznia. Cesarz odwiedził żonę ambasadora austrjackiego hr. Szecheny i.

Pancernik „Friedrich Karl," którego zbrojenie dokonywa się z największym pospiechem, odpłynie do Pireju (port w Atenach).

Nordd. Allg. Ztg. przemawia za energicznem poparciem Anglji w Atenach. Mocarstwa nie powinny dopuścić do tego, aby pokój został zagrożony przez awanturniczą politykę którego z małych państewek.

Konstantynopol 26. stycznia. Cyrkularz Porty do zagranicznych reprezentantów w sprawie greckiej wskazuje przedewszystkiem na dalej trwające zbrojenie w Grecji i na kroki poczynione przez mocarstwa w Atenach. Następnie przypomina cyrkularz terytorjalne ofiary poniesione przez Turcję na żądanie Europy. Ofiary te doszły do ostatecznych granic możliwego ustępstwa. Porta oświadcza w cyrkularzu, iż choć tak jasne złożyła dowody cierpliwości i zamiłowania w pokoju, to przy najmniejszej prowokacji ze strony Grecji będzie musiała postarać się o obronę praw i interesów na swem terytorjum, bo zmusi ją do tego już samo poczucie państwowej godności. Porta czyni Grecję odpowiedzialną za skutki i następstwa jej postawy względem Turcji. Ta ostatnia wymagałaby kompensaty. Cyrkularz kończy się następująco: „Zanim Turcja chwyci się tego ostatecznego środka, apeluje ona do mocarstw, iżby w kategorycznem oświadczeniu domagały się demobilizacji wojsk greckich."

Krąży pogłoska, iż trzy okręty greckie odpłynęły na Kretę.

Londyn 26 stycznia. Posiedzenie Izby gmin. W debacie adresowej. poprawkę Barclaya o poprawieniu doli dzierżawców rolnych, odrzucono 221 głosami przeciw 183. Parneliści i Chamberlain głosowali z mniejszością, Hartington i Goschen z większością.

Bourke oświadcza, iż protest, jakiego doznał ze strony Egiptu projekt rozszerzenia kanału Suezkiego, postawiony przez towarzystwo tego kanału, został przedłożony koronnym jurystom.

Posiedzenie Izby lordów. Salisbury podnosi zarzuty przeciwko projektowi zniesienia urzędu wicekróla irlandzkiego, ponieważ w danej sytuacji byłoby to niepolitycznem, i zapowiada, że za parę dni będzie mógł wyjaśnić politykę rządu względem Irlandji.

Times spodziewa się, iż przestroga wyrażona Grecji, okaże się wystarczającą dla utrzymania pokoju. Jeśliby zaś miało być inaczej, to da się rządowi greckiemu dobitnie do poznania, że mocarstwa europejskie nie pozwolą stroić ze siebie żartów.

Londyn 26 stycznia. Posiedzenie Izby gmin. Bourke oświadcza, iż nie przybyła jeszcze odpowiedź Grecji na zbiorową notę mocarstw, zapowiadającą przeszkodzenie w akcji morskiej.

Ateny 26 stycznia. Agencja Havasa donosi: Delyannis konferował długo z królem. który mu oświadczył, iż podziela zapatrywania narodu i do postawy rządu zastosuje swą własną postawę, bo i on jest Heleńczykiem. Zbiorowe oświadczenie mocarstw roznamiętniło patrjotyczne uczucia do najwyższego stopnia, a zarazem wywołało oburzenie z powodu zamachu na niepodległość narodu greckiego. W Pireju uchwalił mityng wyrazić gratulacją Delyannisowi za jego postawę względem Anglji i wezwał go, aby nadal popierał sprawę narodową. Po prowincjonalnych miastach także zapowiedziano mityngi, które mają dać wyraz oburzeniu narodu greckiego na Anglją.

Madryt 26 stycznia. Załogi w kilku miastach zostaną zmienione. *Liberal* donosi o aresztowaniu wielu podoficerów.

Paryż 26. stycznia. Zgromadzenie konserwatywnej unji postanowiło utrzymać unję i głosować za dalej idącą amnestją. Rojalistyczna prawica przyjęła uchwały unji. Ogólne zgromadzenie wszystkich frakcyj prawicy poważnie dalsze uchwały co do głosowania nad amnestją.

Gubernator Senegalu donosi telegraficznie, iż wojska fałszywego proroka pobito do szczętu.

Przyjechali do Lwowa

dnia 26. Stycznia 1886.

Hotel Żorża: P. hr. Czosnowski z Wołynia. J. br. Romaszkan z Horodenki. A. Abrahamowicz z Targowicy. A. Cielecki z Porchowy. W. Ustrzycki z Czelatycz.

Hotel Francuski: A. br. Horoch z Chwałowic. G. Morawski z Podwołoczysk. K. Jordan z Kunkowic. A. Münchreiter z Budapesztu. J. Kühnel z Kołomyi. W. Erantz z Tarnopola.

Hotel Europejski: Sindel Howschi-Umański z Kamieńca Podolskiego. G. Scharsach z Bystrzycy. Dr. J. Walewski z Ukrainy.

Hotel Langa: P. Gundal z Wiednia. M. Meth z Wiednia. W. Leitkam z Wiednia. L. Loschütz z Wiednia. F. W. Lange z Tryestu.

Hotel Angielski: J. Pawlikowski z Kutkorza. W. Racięski z Kołomyi. W. Malina z Krzywego. F. Nalepa z Niedowic. M. Feher z Kołomyi.

Hotel Krakowski: W. Zajączkowski z Krakowa. K. Zadurowicz z Łopuszanki.

Wiedeński kurs urzędowy

dnia 23. Stycznia. 1886 r.

Renta pap. aust.	84·10	Akcje banku kr.	297.60
„ srebrna „	84.25	Weks. na Lond.	126.35
„ złota „	112.25	Dukaty	5.94
Losy z r. 1860	101.40	Napoleondory	10.01½
Ak. b. aus.-węg.	869.—	Marki niemiec.	61·95

Kurs giełdy wiedeńskiej.

Wiedeń, dnia 26. Stycznia 1886.

godzina 10 minut 10 przed południem.

Akcje kredyt.	298.—	Anglo-austr.	113.30
Kolej Kar. Lud.	219.60	Kolej południ.	132.50
Unionsbank	79.—	Napoleondor	10 02—
Rosyjs. bankn	1·24—	Węg. obl.p. zł.	—.—

Usposobienie: ciche.

godzina 1 minut 45 po południu.

Alpiny	32.50	Węg. akcje kr.	304.—
Anglo-austr.	113.—	Unionsbank	79.—
Kolej Kar. Lud.	219.75	Nordbahn	220.50
Kolej połud.	132.50	Kolej Alföld.	186.—
Kolej państw.	265.50	Kolej lw.-czern.	225.—
Węg. Nordostb.	174.25	Wied. Comunal	124 25
Tytoniowe	80.75	Elbetal	157.50
Węg. cis. losy r.	123.25	Länderbank	107.30
Renta węg. 4%	101.10	Bankverein	107.50
Ros. rubel pap.	1.24¼	Losy węgierskie	117.50
Galic. indemn.	104.25	Marki niemiec.	—.—

Usposobienie: spokojne.

Wiedeń 25. Grudnia godzina 5 minut 35

Akcje kred. . .	297.50	Papierowa renta .	84.07
Akcje Kar.Ludw.	219.50	Listy hypoteczne.	102·50

Berlin, dnia 25. Stycznia 1886

godzina 5 minut 35 po południu.

Rosyjsk. bankn.	199.75	Akcje kredyt.	494 50
Lombardy	215.50	Galicyjskie	88.50
Pożyczka wsch.	61.20	Austr. bank.	161.60

Paryż 25. Stycznia. Renta 3% 81.45.

Lwów. Z Izby handlowej, 25. Stycznia 1886.

1. Akcje za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	219 —	222 50
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	224 25	227 50
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	274 —	278 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	220 —	225 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Tow. kred. galic. 5 prc. w. a.	99 90	100 90
„ „ „ 4 „ „	91 25	92 25
„ „ „ 5 „ okres.	99 90	100 90
„ „ „ 4 „ „	87 60	88 60
Banku krajowego 4½ % w. a.	91 75	92 75
„ hyp. galic. 6 „ „	102 20	103 20
„ „ „ 5 „ „	97 —	98 —
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	99 —	100 —
3. Listy dłużne za 100 złr.		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	55 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	51 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	103 50	104 75
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	97 —	98 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	102 75	104 —
„ „ „ 1883 4½ % „	90 75	91 75
5. Losy,		
Losy miasta Krakowa . .	17 —	19 —
„ „ Stanisławowa . .	25 50	27 50
6. Monety.		
Dukat holenderski . . .	5·82	5·92
Dukat cesarski	5·85	5·95
Półimperjał rosyjski . .	10·30	10·40
Rubel rosyjski srebrny . .	1·54	1·64
„ „ papierowy . .	1 22⅓	1·24⅓
100 marek niemieckich .	61.20	62.20

Nieustająca Wystawa Krakowskiego zjednoczonego Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych (przy placu Św. Ducha l. 10. we Lwowie, otwartą jest codzienie z wyjątkiem poniedziałków) od 11 godziny rano do 4 godziny po południu. Wstęp od osoby w Niedzielę 15 centów, w dnie powszednie 30 centów.

Ruch pociągów.

Ze Lwowa odchodzą:

(Podług zegaru lwowskiego).

Od 1 listopada b. r.

Do Krakowa . . .	*10.46	4. 5	8.—	4.50	—.—
Do Podwołoczysk .	10.27	*5.56	—.—	12.35	—.—
„ (z Podzamcza) .	10.56	—.—	*6.07	1.09	—.—
Do Czerniowiec . .	—.—	11.06	*6.20	12.20	—.—
Do Stryja	7.30	—.—	7.30	11.45	—.—

Do Lwowa przychodzą:

Z Krakowa . . .	9.27	*5.36	11.33	7.50	—.—
Z Podwołoczysk .	*10.26	3.05	—.—	3.50	—.—
(na Podzamcze) .	*10.12	2.28	—.—	3.20	—.—
Z Czerniowiec . .	*10.05	3.35	—.—	3.30	—.—
Ze Stryja	1.25	—.—	8.25	4.35	—.—

* Gwiazdką są oznaczone pociągi pośpieszne W obwódkach czarnych ▭ są godziny nocne, to jest od szóstej wieczór do szóstej rano.

Losowanie dzieł sztuki

towarzystwa przyjaciół sztnk pięknych.

1. Bełtowski Juliusz „Mazepa", szkic z terracotty, wartości 120 zł., wygrał p. Zygmunt Dembowski nr. 715. 2. Bieszczad Seweryn, „Pomnik Zborowskiego", obraz olejny, wartości 20 zł., wygrał dr. Teofil Ciesielski nr. 741. 3. Dukszyńska Emilja, „Główka chłopczyka", obraz olejny wartosci 100 zł., wygrał p. Kazimierz Lewicki nr. 685. 4. Dukszyńska Emilja, „Główka dziewczynki", obraz olejny wartości 100 zł., wygrał p. Antoni Bogdanowicz nr. 249. 5. Gerson Wojciech, „Widok Szczawnicy", nr. 1. obraz olejny wartości 50 zł., wygrał p. Stanisław Papee nr. 1250. 6. Gerson Wojciech, „Widok Szczawnicy", nr. 2., obraz olejny wartości 50 zł., wygrał p. Jan Sadłowski nr. 788. 7. Gerson Wojciech, „Typ górala", obraz olejny wartości 25 zł., wygrało tow. sztuk pięknych w Warszawie nr. 544. 8. Grabiński Henryk, „Krajobraz", obraz olejny wartości 100 zł., wygrał dr. Wawrzyniec Żmurko nr. 552. 9 Harasimowicz Marceli, „Główka mieszczki niemieckiej" nr. 1, obraz olejny wartości 30 zł., wygrał p. Jan Adamowski nr. 779. 10. Harasimowicz Marceli, „Główka mieszczki niemieckiej" nr. 2, obraz olejny wartość 30 zł., wygrał p. Stanisław Łomnicki nr. 648. 11. Kossak Juliusz, „Morsztyn pod Chocimem", akwarela wartości 200 zł., wygrał p. Antoni Obertyński nr. 1025. 12. Krzesz Józef, „Szlachcianka z XVI wieku", obraz olejny wartości 400 zł., wygrało lwowskie kasyno miejskie nr. 894. 13. Łoś Włodzimierz, „Noc księżycowa", obraz olejny wartości 180 zł., wygrał p. Edward Ubysz nr. 98 14. Piotrowski Antoni, „Epizod z r. 1863", obraz olejny wartości 250 zł., wygrała p. Walerja Giżycka nr. 916. 15. Reyzner Mieczysław, „Wieśniak szwabski", obraz olejny wartości 30 zł., wygrała p. Hermina Odrzywolska nr. 980. 16. Rybkowski Tadeusz, „Życie w górach", (okolica Delatyna), obraz olejny wartości 300 zł., wygrał p. Józef Żurowski nr. 968. 17. Stachiewicz Piotr, „Kołysanka", obraz olejny wartości 200 zł., wygrała hr. Róża Lanckorońska nr. 1041. 18. Styka Jan, „Gliński z córką", obraz olejny wartości 250 zł., wygrał p. Adam Widajewicz nr. 223. 19. Świeszewski Aleksander, „Jezioro Nemi", obraz olejny wartości 325 zł., wygrał p. Jan Stankiewicz nr. 230. 20. Żuber Juliusz, „Głowa starca", obraz olejny wartości 50 zł., wygrał p. Ludwik Wroński nr. 143 21. Album następcy tronu. (Kronprinz Album). 24 sztychów, wartości 20 zł., wygrał p. Józef Blauth nr. 139. 22. Jezioro Chiem, staloryt podług Hanscha. Premia towarzystwa Salzburskiego, wartości 5 zł., wygrał konwent OO. Bernardynów nr. 789. 23. Sosna, heliodruk podług Marzaka. (Z charakterystyki lasów austr.). Premia towarzystwa czeskiego, wartości 5 zł., wygrał p. Władysław Tchórznicki nr. 622. 24. Jodła, heliodruk podług Marzaka. (Z charakterystyki lasów austr.). Premia Towarzystwa czeskiego, wartości 5 zł., wygrała Umelecka Beseda w Pradze, nr. 918. 25. Wieś i miasto, sztych podług Marca. Premia towarzystwa austrjackiego, wartości 5 zł., wygrał p. Leon Broldo, nr. 35. 26. Kwitnące róże, heliodruk podług Blaasa. Premia towarzystwa austrjackiego, wartości 5 zł., wygrał hr. Stanisław Badeni, nr. 346. 27. Nadejście wiosny, miedzioryt podług Keysera. Premia towarzystwa austrjackiego, wartości 5 zł., wygrał p. Michał Jabłonowski nr. 386. 28. Nadejście wiosny, miedzioryt podług Keysera. Premia tow. austr., wartości 5 zł., wygrał magistrat m. Lwowa, nr. 528. 29. Wieśniacy w ucieczce podczas 30-letniej wojny, litografja podług Meixnera. Premia Umieleckiej Besedy, wartości 2 zł., wygrał p. Józef Hochedlinger nr. 385. 30. Jeleń przed walką, sztych podług Kroenera. Premia tow. austr., wartości 5 zł., wygrał p. Jan Szyjkowski nr. 149. 31. Walka jeleni, sztych podług Deckera. Premia Tow. austrjackiego, wartości 5 zł.. wygrał p. Józef Skrzeszowski, nr. 1008. 32. Małgosia przed Matką bolesną, sztych podług Liezen-Mayera. Premia tow. wiesbadeńskiego wart. 2. zł. 50 ct., wygrała hr. Jadwiga Wodzicka nr. 807. 33. Małgosia u studni, sztych podług Liezen-Meyera. Premia tow. wiesbadeńskiego, wart. 2 50, wygrał p. Stanisław Nowicki, nr. 213. 34. Małgosia u studni, sztych podług Liezen-Meyera. Premia tow. wiesbadeńskiego, wart. 2·50, wygrał magistrat m. Lwowa, nr. 532 35. Ostatni pochód Hofera, sztych podług Defreggera. Premia tow. austr., wart. 5 zł., wygrał p. Henryk Janko, nr. 747. 36. Ostatni pochód Hofera, sztych podług Defreggera. Premia tow. salzburskiego, wart. 5 zł., wygrał p. Leon Wszelaczyński nr. 251. 37. Samobójca, miedzioryt podług Marzaka. Premia umieleckiej Besedy w Czechach, wartości 5 zł., wygrała p. Karolina Weber, nr. 1028. 38. Szczęście matki, podług Riesla. Premia tow. styryjskiego, wart. 6 zł., wygrał p. Kraiński Edmund, nr 618. 40. Zakochany pocztyljon, fotodruk podług Kowalskiego. Premia Umieleckiej Besedy w Czechach, wartości 5 zł., wygrała pani Michalina Bratkowska, nr. 109 41. Jowisz i Jo, staloryt podług Coreggja. Premia tow. rozpowszechn. dzieł sztuki, wartości 4 zł., wygrał p. Jan Loewe, nr. 406. 42. Przeliczanie pieniędzy, miedzioryt podług Murilla. Premia Tow. rozpowszechn. dzieł sztuki, wartości 4 zł., wygrał p. Leonard Kieszkowski, nr 287. 43. Jan Sobieski na polowaniu. chromolitografja podług Kossaka. Premia Tow. warszawskiego, wartości 5 zł., wygrał p. Juljan Gudwiłowicz, nr. 392. 44. Wyjście procesji z kościoła św. Barbary, fotograwura podług Lipińskiego. Premia Tow. krakowskiego, wartości 6 zł., wygrał p. Ferdynand Gąsiorowski, nr. 236. 45. Ranny Czarnogorzec, sztych podług Czermaka (oprawny). Premia umieleckiej Besedy, wartości 13 zł. wygrała pani Leonja Grelińska. nr. 457. 46. Rudolf II. u swego alchemisty, fotodruk podług Brozika (oprawny). Premia umieleckiej Besedy, wartości 13 złr., wygrała pani Marja Stecka, nr. 350. 47. Krajobraz Hobbema, reprodukowany w sztychu (oprawny). Premia Tow. rozpowszechnienia dzieł sztuki, wartości 13 zł., wygrał p. Antoni Wrotnowski, nr. 219.

48. Zeszyt rycin, Towarzystwa reprodukcyjnego. Rocznik IV. zeszyt 1 wartości 3 złr. wygrał p. Teofil Drożyński nr. 298 49. Zeszyt rycin Tow. reprodukcyjnego. Rocznik VI. Zeszyt II i III wartości 6 złr., wygrał hr. Teodor Lanckoroński nr. 1063. 50. Zeszyt rycin. Tow. reprodukcyjnego. Rocznik VI. Zeszyt IV wartości 3 złr., wygrał pan Konstanty Sawicki nr. 689 51. Zeszyt rycin. Tow. reprodukcyjnego. Rocznik VII. Zeszyt I wartości 3 złr., wygrał dr. Józef Kilarski nr. 97. 52. Zeszyt rycin. Tow. reprodukcyjnego. Rocznik VII. Zeszyt II i III wartości 6 złr., wygrał ks. Jan Sapieha nr. 549. 53. Zeszyt rycin. Tow. reprodukcyjnego. Rocznik VII. Zeszyt IV wartości 3 złr., wygrał hr. Adam Gołuchowski nr. 87.

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich & Twerdy w Bielsku i w Białej. Z drukarni Pillera i Spółki